

TATERNIK

Nr 3-4/2007 • UKAZUJE SIĘ OD 1907 ROKU

To już 100 lat...

<http://pza.org.pl>



SPIS TREŚCI

Szanowny jubilatcie... (A. Paczkowski).....	1
100 lat „Taternika” (J. Nyka).....	2
Ludzie, którzy „Taternika” tworzyli (J. Nyka).....	12
Oblężenie Galerii (S.D.B.).....	17
Szkolić, jak to łatwo powiedzieć... (W. Święcicki).....	21
Lato w Tatrach Polskich (A. Paszczak).....	24
Alpinus Nanga Parbat – K2 Expedition (P. Morawski).....	26
Zdobycie Honboro Peak (Ł. Depta).....	29
Wyprawa na Kongur Shan (M. Hennig).....	34
Golden Lunacy (D. Kaszlikowski).....	36
Odrębna rzeczywistość (D. Kaszlikowski).....	40
Freerajdy Subaru Climbing Team (A. Sokołowski).....	43
Wspinaczki w Taghii (P. Kopta).....	46
Wspinaczka sportowa (A. Kamiński).....	47
Jaskinie.....	49
Rozmaitości.....	51
Wypadki taternickie i speleologiczne (A. Marasek).....	54
Członkowie honorowi PZA.....	57
Nowości wydawnicze.....	59
Pożegnania.....	61

Okładka: Dziewicze turnie w górach południowej Grenlandii.

Fot. D. Kaszlikowski

Obok: Marek Fliśnik w kluczowym miejscu drogi Łapińskiego i Paszuchy na Galerii Gankowej.

Fot. A. Paszczak

IV strona okładki: W ścianie Niuxin Shan.

Fot. A. Sokołowski

Szanowny Jubilacie,

Cztery lata temu świętowaliśmy 100-lecie zorganizowanego ruchu taternickiego (alpinistycznego), teraz obchodzimy setną rocznicę Twoich narodzin. Można zapytać więc, czy nie za bardzo lubimy jubileusze? Wydaje mi się, że nie ma w nich niczego zdrożnego. Mimo komercjalizacji i mediatyzacji, góry i wspinanie się wciąż są czynnikiem kulturotwórczym (książki, filmy, obrazy – dzieła samych wspinaczy), a w takim przypadku przeszłość nie może być wymazana.

W bardzo różny sposób można przygotować Twoją, Drogi Jubilacie, laudację. Na przykład po prostu przedstawić drogę życiową od narodzin (data zapisana w księdze stanu cywilnego – 1 marca 1907) aż po dzień dzisiejszy. Mówić o kolejnych wydawcach i redaktorach, miejscach i częstotliwości wydawania, zmianach Twojego wyglądu. Także o kłótniach, których byłeś przedmiotem. Obliczyć ile nowych dróg – od Świnicy po K2 – zaproponowałeś swoim czytelnikom. Ile debat między kolejnymi pokoleniami „starych” i „młodych” stoczono na Twoich łamach. Dla ilu zdjęć, a były wśród nich nowatorskie i przejmujące piękne, znalazłeś godne miejsce. Ile nowinek technicznych – od wiekopomnego Akara, czyli Adama Karpińskiego poczynając – upowszechniłeś. To przecież Ty umożliwiłeś postawienie dwóch niezwykle ważnych dla polskiego wspinactwa pytań: najpierw (1931) Jerzego Golcza „Dlaczego Liljowe zamiast Everestu?”, potem Jurka Warteresiewicza (1966) „Himalaje – z nami czy bez nas?”. A wreszcie – wyliczyć ilu przyjaciół swoich pożegnałeś, gdy odeszli ku Niebiańskim Ścianom.

Można też przez Twoje perypetie czytać historię naszego kraju. Zamilkłeś podczas I wojny światowej, potem długo nie mogłeś „złapać oddechu”, by wraz z rozwojem II Rzeczypospolitej nabrać blasku. W czasie kateklizmu 1939-1945 Twoje wierne sługi (Tadeusz Orłowski) wiele ryzykując podtrzymały Twój żywot jako jedyne go konspiracyjnego pisma alpinistycznego na świecie, a inni (Jurek Hajdukiewicz) zatroszczyli się o Twoje istnienie na wychodźstwie. Stalinowskie zawirowanie przeżyłeś pod postaciami poznańskiego „Oscypka”, warszawskiej „Krzesanicy” i krakowskich „Gór Wysokich”, by w 1956 r. pod egidą niezapomnianego WHP przybrać poprzednią postać. Także kolaps realnego socjalizmu w generalskim wydaniu odbił się na Twoim żywocie, gdy z trudem wróciłeś „na ring”, na którym bokowali już inni.

Wróciłeś jednak i chwała Ci za to.

Zawsze wierny,

Andrzej Paczkowski



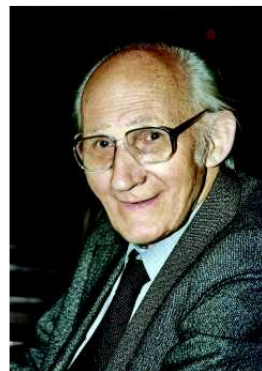
100 lat „Taternika”

Józef Nyka

W tym roku „Taternik” obchodzi 100-lecie istnienia. Na świecie jest tylko parę czasopism górskich o równie długim w miarę ciągłym stażu. Najstarszym jest brytyjski „Alpine Journal”, początkami sięgający połowy XIX wieku. Jakkolwiek w życiu aktywnych i rozwijających się czasopism wszelkie jubileusze mają wartość umowną, to przecież jednak dają one zawsze sposobność do refleksji: spojrzenia wstecz na przebytą drogę i rzutu oka w przyszłość – dokąd ta droga prowadzi. W piśmie liczącym lat 100 i te okolicznościowe obrachunki mają rzecz jasna swoją tradycję.

Przed I wojną światową

Kiedy na przełomie wieków taternictwo zaczęło się wyodrębniać w elitarny ruch turystyczny, korzystało z łamów już istniejących czasopism, głównie „Przeglądu Zakopiańskiego” (1899-1905) i „Pamiętnika Tow. Tatrzańskiego”, do którego od r. 1903 przeniesiono z „Przeglądu” „Kronikę turystyczną”, dokumentującą ciekawsze przejęcia turystyczne i taternickie. Założona w r. 1903 Sekcja Turystyczna Tow. Tatrzańskiego (ST TT) dopiero w 5 lat później przyjęła kierunek wyraźnie sportowy. W tym też czasie uchwałą Ogólnego Zgromadzenia z dnia 25 sierpnia 1906 postanowiła powołać do życia swój własny organ, mający propagować polski sport górski i służyć jego wszechstronnemu rozwojowi. Ogłosił to niebawem „Pamiętnik Tow. Tatrzańskiego” (1908 s.40): „...postępując w myśl uchwały Ogólnego Zgromadzenia, co do wydawania pisma periodycznego poświęconego turystyce tatrzańskiej (§5 punkt g. Statutu Sekcji), Zarząd Sekcji zajął się wszelkimi czynnościami przedwstępnymi, poprzedzającymi redagowanie organu Sekcji pt. Taternik, który jako kwartalnik od 1 marca 1907 r. począwszy wychodzić będzie we Lwowie. Do komisji redakcyjnej wybrani zostali: prof. dr Kazimierz Panek (jako odpowiedzialny redaktor i wydawca) tudzież pp. Zygmunt Klemensiewicz i Roman Kordys”. Narodzinom i programowi „Taternika” patronował ówczesny nr 1 taternictwa polskiego – odczytany w literaturze zachodniej inż. Janusz Chmielowski.



Koncepcję redakcyjną i pierwszy numer opracowali w zimie 1906-07 Panek, Kordys i Chmielowski. Nie ograniczyli się do własnych pomysłów lecz za wzór wzięli poczytną „Österreichische Alpenzeitung”, od której zapożyczyli układ treści i styl relacjonowania wydarzeń, a nawet tytuły niektórych rubryk. Nic przeto dziwnego, że „Taternik” ujrzał światło dzienne w na wskroś przemysłanym kształcie, ogólnie biorąc do dziś dnia niewiele tylko zmienionym. Zeszyt miał wymiary 27 x 17,5 cm i dzielił się, podobnie jak obecnie, na dwie części: artykuły i rozprawy oraz obszerną kronikę, na którą składały się mniej więcej stałe rubryki: „Nowe drogi”, „Sprawy Sekcji”, „Z sezonu”, „Notatki”, „Z piśmiennictwa”. Przeważała problematyka polska i tatrzańska – np. rocznik 1909 poza Tatrą wychylił się tylko w dziale recenzji. Redakcja od razu przyjęła kierunek sportowy, co jej już w r. 1907 wytknął Mieczysław Karłowicz, domagając się uwzględniania również estetycznej strony taternictwa. Podobnie jak w ÖAZ, prawie każdy numer posiadał efektowną kartkę ilustracyjną (widoki z Tatr), kolumny okładowe wypełniały reklamy m. in. magazynu sportowego Mizzi Langer Wien.

W r. 1908 z rąk Panka batutę redaktora naczelnego przejął 22-letni wówczas Roman Kordys, w połowie roku 1911 przekazując ją dalej swemu partnerowi i przyjacielowi, Zygmunutowi Klemensiewiczowi. Pismo okrzepło szybko, wychodziło regularnie w 6 zeszytach rocznie, a poziomem dorównywało pokrewnym periodykom zachodnioeuropejskim. Jego wpływ ideologiczny rozciągał się na ruch taternicki po obu stronach granicy, a na liście bliskich współpracowników nie brakowało nazwisk takich, jak Janusz Chmielowski, Walery Goetel, Mariusz Zaruski, Gyula Komarnicki, Jerzy Żuławski (poeta i pisarz), Ferdynand Goetel czy Mieczysław Karłowicz, który – jak napisał Kordys w pożegnaniu (nr 3/1911 s. 44) – „na łamach Taternika ogłosił rzecz najpiękniejszą, jaką literatura taternic-



Okladki z lat 1908 i 1912 oraz ich pierwowzór - okładka ÖAZ

ka kiedykolwiek wydała”, czyli wspomnienie „W jesiennym słońcu” (1908 nr 3). Do mniej chlubnych kart zaliczyć trzeba odczuwanie się pisma (już w pierwszym roczniku) do niemieckiej nagonki na Karola Englischa w artykule Kordysa „Mystyfikacje w taternictwie” (1907 nr 6).

W numerze 1/1913 powitał czytelników czwarty z kolei redaktor, również wówczas 22-letni Mieczysław Świerż, mający do pomocy Stanisława Porębskiego i Walerego Gotla. Oznaczało to przeprowadzkę redakcji ze Lwowa do Krakowa. Nowy zespół redakcyjny złożył zapewnienie, iż staraniem jego będzie nadal „strzeżenie czystości idei taternickiej, podawanie wszechstronnego obrazu wysokogórskiej działalności polskich turystów zarówno w Tatrach jak i innych górach, a wreszcie podnoszenie umiejętności wycieczkowania oraz rozpowszechnianie wiadomości naukowych i praktycznych, z taternictwem w związku będących...”. Dwa numery rocznika 1914 zamykają komplet sprzed I wojny światowej – 8 tomów w łącznej objętości 889 stron druku. „Taternik” i „Przewodnik” [Chmielowskiego] w bardzo znaczny sposób przyczyniły się do rozkwitu taternictwa polskiego – oceniał po latach Bolesław Chwaściński.

Miedzy dwiema wojnami

Okres I wojny światowej i politycznego zamętu wykruszył szeregi taterników i oddalił ich od gór, spowodował też przerwanie wyda-

wania czasopisma. W r. 1919 na wniosek XII Ogólnego Zebrania ST TT postanowiono wypełnić powstałą lukę zbiorczym tomem 1915-1921, pozostawionym poza numeracją rocznikową i później w niej pomijany. Tom był bardzo skromny (38 stron druku, bez ilustracji), zapowiadał jednak, że odtąd „pismo pojawiać się będzie już w periodycznych odstępach”. Panował ogólny niedostatek a rozbite wojną grono polskich wysokogórców przeżywało kryzys organizacyjny i ideologiczny, toteż zapowiedź tę ciężko było spełnić. Na rocznik 1922 złożyły się dwa podwójne numery, lata 1923-24 „z przyczyn od redakcji niezależnych” połączono w jeden ubogi dwurocznik. Po numerze z dnia 25 września 1925 r. nastąpiła przerwa aż dwuletnia. Decyzją walnego zebrania ST PTT z 17 sierpnia 1924 „Taternik” stał się też „organem urzędowym” Sekcji Taternickiej AZS w Krakowie.

Lata 1927-28 przyniosły kolejną przerwę, spowodowaną „trudnościami finansowymi” a „Taternika” próbował zastępować „Przegląd Turystyczny” PTT. Ożywienie nastąpiło dopiero w r. 1928, m.in. dzięki wydebieniu przez Kordysa stałej subwencji PTT. Pismo zaczęła wtedy współtworzyć ST AZS, której przedstawiciele (Marian Sokołowski i Stanisław K. Zaremba) weszli w skład komitetu redakcyjnego (Chmielowski, Kordys i redaktor naczelny Mieczysław Świerż). Rocznik zamknięto jednym z najcenniejszych w dorobku pisma zeszytów: poświęconym 25-leciu

istnienia ST PTT i dziejom naszej organizacji w tym ciekawym okresie. Świerż opracował ogółem 17 zeszytów i na kilka miesięcy przed tragiczną śmiercią wycofał się z zajmowanego stanowiska.

„Taternika” przejęli teraz „młodzi”, prężna i wiodąca prym w Tatrach grupa „Syfonów”. Stanisław K. Zaremba, nowy „redaktor naczelny i odpowiedzialny”, skupił wokół siebie kilka dobrych piór, zmienił nieco szatę zewnętrzną pisma, treść zręcznie dopasował do wymogów epoki szturm na tatrzańskie ściany (opisy nowych dróg, szczegółowe analizy topograficzno-historyczne, nadawanie nazw coraz to drobniejszym elementom skalnej rzeźby itp.). Nakład pisma wynosił ok. 500 egzemplarzy, finansowało je PTT z udziałem ST PTT i ST AZS.

Czasy Jana Alfreda

Z przyczyn zawodowych (praca dydaktyczna w Wilnie) Zaremba dość szybko zrezygnował z prowadzenia „Taternika”. Podpisał co prawda jeszcze efektowny numer 4/1930, poświęcony Łomnicy, nie on go już jednak przygotował, lecz następny, szósty z kolei redaktor naczelny – Jan Alfred Szczepański, podobnie jak Kordys, zawodowy dziennikarz. Pod tym wytrawnym kierownictwem „Taternik” wszedł w swój najlepszy bodaj okres, ściśle zresztą i obustronnie powiązany z międzywojennym (bo był też drugi po II wojnie światowej) złotym okresem dziejów naszego taternictwa i alpinizmu egzotycznego. Wiele lat później popularny Jaszcż wspominał te czasy: „Zaproszono mnie do redagowania pisma, gdy starsi taternicy zużyli swe siły i nowe kierunki sportowe domagały się odpowiednio mocnego głosu. Był wtedy rok 1931. Pismo wzięło na ambit, wychodziło regularnie jako dwumiesięcznik (...), dominująca uprzednio tematyka taternicka objęła i inne góry świata. Zaczęły się bowiem regularne wyprawy KW (...). Taternik pęczniał w stronicie druku, w fotografii, wykresy, szkice, mapy. Ogłaszałyśmy zeszyty monograficzne (...), prowadziliśmy zażarte spory ideologiczne (sport, niesport czy nadsport?), broniąc zawsze humanistycznych wartości alpinizmu. Kłopoty materialne – owszem – było ich sporo, ale długi sponało PTT, w którym mieliśmy zwartą grupę przyjaciół (...). Rozumieli oni znaczenie pisma i nie żałowali złotych na subwencje.”

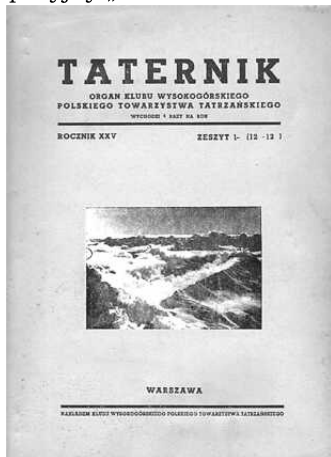
Numerы faktycznie pęczniały od treści a marginesy od przypisów, nie brakło nawet

miejsca na debiuty taternicko-literackie. Ze szczególnym pietyzmem opracowywał Szczepański numery profilowane, poświęcone już to wyprawom (zeszyt „alpejski”, kapitalny zeszyt kaukaski), już to problemom lub zasłużonym zmarłym (M. Świerż, W. Stanisławski, R. Kordys). Doniosłe znaczenie miały prowadzone wówczas wymiany poglądów. Przyczyniły się one do szczęśliwej unifikacji polskiego ruchu wysokogórskiego, nakreśliły „program ekspansji polskiego alpinizmu” (nr 4 z kwietnia 1936 r.), przyniosły szczegółowy projekt monograficznego przewodnika taternickiego, zrealizowany w latach 1951-1988 przez Witolda H. Paryskiego. Pismo chętnie korzystało ze zwyczajowego prawa tworzenia nowych nazw w Tatrach, które wprowadzano nie ukradkiem – jak to czynili autorzy przewodników – lecz drogą oficjalnych głos: „Pn. zach. grań Ciemnosmreczyńskiej Turni tworzy tuż nad Wrotami Chałubińskiego garb, któremu nadajemy nazwę Kopa nad Wrotami, zaś przełęcz oddzielającej ją od masywu Ciemnosmreczyńskiej Turni nazwę Przełęcz nad Wrotami.” Od r. 1933 zaczęto etapami wprowadzać roczniki niezgodne z kalendarzem, liczone od jesieni do późnej wiosny, co wprowadziło bibliograficzny nieład do edycji. Redaktor pracował w zasadzie społecznie, za przygotowanie numeru otrzymywał 50 zł, co odpowiadało 1/4 pensji wiejskiego nauczyciela. Nakład pisma podniósł się do ok. 1000 egzemplarzy, a tom 1936 osiągnął objętość 236 stron – rekordową w całych dotąd dziejach „Taternika”. Słusznie więc pęczniało z dumy PTT, a Zarząd Klubu Wysokogórskiego podkreślał w swych sprawozdaniach, że J. A. Szczepański „postawił pismo na poziomie najlepszych tego rodzaju wydawnictw zagranicznych”.

W okresie tym jako autor i rysownik dał się poznać czytelnikom student architektury Zdzisław Dąbrowski, szczególnie uzdolniony w zakresie analizowania rzeźby górskiej i przenoszenia jej w opis. Toteż, gdy wyjeżdżając w r. 1936 w Andy, redaktor Szczepański zawiesił swój urząd, powierzono go bez wahania – zrazu jako zastępstwo – właśnie Dąbrowskiemu. Mimo znacznie skromniejszej praktyki taternickiej, nowy redaktor potrafił utrzymać wysoki lot pisma. Zeszytowi „Kaukaz 1935” przeciwstawił doskonały i do dziś ceniony przez ekspertów zeszyt himalajski (1936-37 nr 5), zdobył się nawet na cenną nowość: roczny spis treści z pełnym indek-

tur, takich jak J.W.Ż. (J.W. Żuławski) J.Ch. (J. Chmielowski), jaszcz (J.A. Szczepański), S.D.B. (S. Dunin-Borkowski) i podobnych. Praktykowano nawet wysyłkę drogą pocztową.

Zainspirowani przykładem Warszawy, taternicy i wspinacze w Krakowie wydali w latach 1942 i 1944 dwa numery „Pokutnika”, zewnętrznie i treściowo podobnego do zeszytów Orłowskiego, choć staranniej powielanego i bardziej zorientowanego na tematykę skałkową. Emigracyjna wersja naszego pisma wydawana była przez Klub Wysokogórski Winterthur, założony w obozie dla internowanych w Szwajcarii oficerów polskich („Taternik” 2 - 3/1947 s. 51-56). W latach 1944 i 1945 ukazało się łącznie 5 powielanych numerów, wypełnionych bardzo interesującymi materiałami, a zredagowanych przez Jerzego Hajdukiewicza i Macieja Mischkego. Witold H. Paryski w lata wojny rozpoczął prace nad indeksem zawartości „Taternika”. Dzisiaj okupacyjny „Taternik” zachował się w kilku zale-



Okładka konspiracyjnego „Taternika” z 1941 r.

Po II wojnie światowej

Walne Zgromadzenie KW PTT w dniu 4 VIII 1946 r. na wniosek prof. dra Walerego Goetla uchwaliło „jako najważniejsze zadanie dla nowego zarządu wydanie Taternika”. Redakcję wziął w swoje ręce Witold H. Paryski, alpinista o wielostronnym dorobku i wytrawny znawca problematyki górskiej, zwłaszcza tatrzańskiej. Nawiązał on do modelu pisma wypracowanego przed wojną, wzbogacając go o nowe pomysły. Jednym z nich były od numeru 1-2/1948 streszczenia angielskie, wychodzące naprzeciw potrzebom czytelników zagranicznych. Bogactwu informacji to-

warzyszyła precyzja opracowania, nadająca materiałom w wielu kwestiach wartość „ostatniego słowa”. Pierwszy po wojnie numer datowany jest „maj 1947” a w artykule wstępnym przerwa tłumaczona jest konsekwencjami wojny, przy czym pada stwierdzenie, że jest ona krótsza niż ta po I wojnie światowej, m.in. dlatego, że „polskie środowisko taternickie nie zostało tak doszczętnie zniszczone przez minioną wojnę, jak się to stało w latach 1914-1920”. Podtrzymując tradycję numerów tematycznych, W. H. Paryski wydał ich dwa: afrykański i himalajski – oba częściowo w oparciu o teksty zawarte w „Taterniku” okupacyjnym. Drugi z tych zeszytów ukazał się w listopadzie 1949 roku. Redakcja zaplanowała i w większości przygotowała numer 3-6/1949, poświęcony sprawom szkolenia kadr i upowszechnienia turystyki wysokogórskiej, niestety z różnych powodów materiały te nie ukazały się drukiem. Nastąpiła kolejna przerwa w życiu „Taternika”, tym razem aż 5-letnia.

Brak czasopisma poszczególne środowiska usiłowały wypełnić lokalnymi periodykami w rodzaju „Oscypka” (18 numerów w latach 1951-56), „Taternika Łódzkiego” (4 numery 1953), warszawskiej „Krzesanicy” (3 numery 1953-54) czy „Gór Wysokich” (3 zeszyty 1954-55). Szczególnie wyróżniał się poznański „Oscypek”, tworzony głównie przez Ryszarda W. Schramma, łódzkie piśmiennictwo redagował Andrzej Wilczkowski, „Krzesanicę” – Jerzy Sawicki. Wydawnictwa te – omówione łącznie w „Taterniku” 2-3/1959 s. 35 – były na ogół dobrze redagowane i stanowią zbiory cennego materiału dla przyszłych historyków taternictwa. Tylko ostatnie z nich, firmowane przez krakowską Sekcję Taternictwa ZG PTTK (1954 – red. Jerzy Hajdukiewicz) i krakowską Sekcję Alpinizmu (1955 – red. Antoni Wala) ukazywało się drukiem. Wśród gazet i pism powszechnych żywiej zainteresowanych alpinizmem był – obok „Turysty” i „Sportowca” – czytany wówczas w środowisku „Tygodnik Powszechny” z Janem K. Dorawskim jako głównym autorem.

Nie brakowało też prób wskrzeszenia „Taternika”. W r. 1952 został przygotowany numer zredagowany przez Macieja Mischkego przy współudziale komitetu w składzie Jan Kazimierz Dorawski, Jerzy Hajdukiewicz, Tadeusz Nowicki i – jako delegat ZG PTTK – Justyn Wojsznis. Niestety, numer nie uzyskał przychylnych ocen (m.in. niedo-

bór materiałów radzieckich) i nie ukazał się drukiem, zachował się jedynie maszynopis wraz z projektem graficznej okładki. Wyłoniona w maju 1953 r. Komisja Taternictwa ZG PTTK stanowisko redaktora naczelnego powierzyła Janowi A. Szczepańskiemu, z Witoldem H. Paryskim jako sekretarzem i faktycznym twórcą pisma. Zaplanowano numer 1-2/1953, którym później postanowiono objąć cały rok 1953 i dedykować go 50-leciu Sekcji Turystycznej TT. Redaktor apelował o nadsyłanie materiałów, sam był jednak pochłonięty pracą nad przewodnikiem „Tatry Wysokie” i skończyło się na zapowiedziach. Bez echa pozostały też apele o przywrócenie „Taternika”, ogłoszone podczas narady taterników na Polanie Chochołowskiej w r. 1954.

Powroty Witolda Paryskiego

Dopiero w r. 1956 ówczesna Sekcja Alpinizmu ZG PTTK i GKRF reaktywowała pismo – ponownie pod kierownictwem WHP i w przesadnie dużym nakładzie 3184 egzemplarzy. Realizację objęło Wydawnictwo „Sport i Turystyka”, które miało ją utrzymać przez najbliższe dziesięciolecie. „Taternik” przejmował wszystkie dobre tradycje, pragnąc je jednocześnie – jak napisano w słowie wstępnym – poszerzyć „o nowe elementy wynikające z nowego życia narodu i taternickiej społeczności”. W treści rocznika nowością był dział „Speleologia i taternictwo jaskiniowe”, związany z faktem objęcia przez organizację pieczy również nad taternictwem podziemnym. Drugi zeszyt (numery 3-4) poświęcono II Polskiej Wyprawie w Andy, wykorzystując materiały przygotowane do zniszczonego zeszytu 4/1939.

W następnym roku (1957) redakcję przeniesiono do Krakowa, powierzając ją zespołowi pod wodzą Antoniego Wali. „Taternik” sku-

pił wokół siebie nowy aktyw autorski, wyłoniono Komitet Redakcyjny (przewodniczący Ryszard W. Schramm) oraz „zespoł redakcyjny” w składzie: Przemysław Burchard (sekretarz), Ryszard Gradziński, Maciej Mischke, Adam Skoczylas i Jerzy Wala. Pismo zachowało format B5 ale odstąpiło od tradycyjnego wzorca – począwszy od numeru 1/1958 nowocześnie podawana treść ujęta została w nowy layout, którym zajął się znany fotografik, Zbigniew Łagocki. Wśród rysowników był m.in. Andrzej Pietsch. Zespołowi – jak mówił Jerzy Wala – zależało z jednej strony na zainteresowaniu pismem szerszej publiczności, z drugiej zaś – na rozbudzeniu zainteresowań plastycznych i fotograficznych wśród taterników. Ten drugi cel został w dużym stopniu osiągnięty. Jeśli chodzi o dobór artykułów, redakcji chodziło bardziej o urabianie postawy współczesnych taterników, aniżeli o dostarczanie im pełnej informacji. Osiągnięciem braci Walów było pozyskanie grupy naprawdę znakomitych współpracowników, jak chociażby Jan Józef Szczepański, a także rozbudzenie w taternikach zainteresowań literackich – w ówczesnych numerach pisywali m. in. Adam Skoczylas, Jan Długosz, Przemysław Burchard, Maciej Kuczyński, Stanisław Urbański, Anna Skoczylas i inni. Piękny numer poświęcony pamięci Wawrzyńca Żuławskiego (4/1959) przygotowano na podstawie materiałów zebranych przez Marię Skroczyńską, Bolesława Chwaścińskiego, Tadeusza Orłowskiego i Justyna Wojsznisa.

Przemiany wprowadzone w szacie i treści pisma miały tyłuż samo entuzjastów, co przeciwników, przyzwyczajonych do wyczerpującej informacji i dawnego wyglądu pisma, w lekko staroświeckiej formie szczęśliwie nawiązującego do półwiekowej tradycji. Toteż, gdy w czerwcu 1960 r. wskutek niesnasek w zespole krakowskim wrócił do steru – już po raz trzeci – redaktor W. H. Paryski, przyjął z powrotem zarzucony model, graficznie nieco odświeżony według wzoru paryskiej „La Montagne”. Nakład utrzymywał się na poziomie 2500 egzemplarzy, a objętość roczników przekraczała 200 kolumn, nadal dzielonych pomiędzy artykuły i treściwy serwis informacyjny. Z powodu trudności redakcyjnych i drukarskich zeszyty ukazywały się z opóźnieniami, średnio licząc półrocznymi w stosunku do okresów datowania. W wydanych w tym okresie zeszytach kilka reprezen-



Okładki z lat 1947 i 1958

tuje standard bardzo wysoki, a najlepszym jest nr 2-4/1962, poświęcony I Polskiej Wyprawie w Hindukusz i stworzony głównie przez Bolesława Chwaścińskiego. Na łamach „Światowida” (10/1962) Witolda H. Paryskiego oceniał Jan A. Szczepański: „Obecnie redaguje „Taternika” Witold Paryski, zakopiańczyk, kronikarz alpinizmu i toponomastyk (...), autor obliczanego na wiele tomów przewodnika po Tatrach, pedant nad pedanty. Ale tak być powinno: żadna data w „Taterniku” nie śmie być mylna, żadna nota fałszywa, żaden szczegół topograficzny nieściśły lub szczegółik historyczny przekreślony. „Taternik” to encyklopedia spraw alpinizmu, a encyklopedia powinna być nieskazitelnie sumienna i dokładna (choć idealów nie ma).”

Przenosząc redakcję z Krakowa do Zakopanego archiwum redakcyjne (książki, czasopisma) przekazano do centralnego magazynu KW, gdzie uległo ono całkowitemu rozproszeniu. Trudną do powetowania stratą stało się rozprzedanie redakcyjnego kompletu „Taternika”, w tym wszystkich numerów wojennych.

Dalej od gór – „Taternik” w Warszawie

W zimie 1962-63 doszło do konfliktu między ZG KW a obojgiem Paryskimi, którzy z sobie tylko wiadomych powodów odmówili przyjęcia członkostwa honorowego, nadanego im przez Walny Zjazd. W tej sytuacji 17 lutego 1963 Plenum ZG KW zapowiedziało „ewentualną zmianę w Redakcji Taternika” Decyzję odłożono do marca, kiedy to redagowanie organu klubowego postanowiono powierzyć (z dniem 1 lipca) autorowi niniejszego artykułu, Józefowi Nyce. Witold H. Paryski zęgnął się z czytelnikami i współpracownikami (T.1-2/1963 s.88): „Ze współpracy z taternikami wszystkich żyjących pokoleń pozostało mi wiele miłych wspomnień i mam nadzieję, że zadziergnięte kontakty zostaną utrzymane mimo mego odejścia z Redakcji Taternika – pisma, do którego pierwszy artykuł napisałem lat temu trzydzieści.”

Niestety, z uwagi na ciężką sytuację finansową Klubu, zmianie warty towarzyszyły nowe oszczędności w i tak kusym budżecie. Spowodowały one dalszą redukcję programu graficzno-typograficznego, rezygnację z rocznych spisów treści, a także – szczególnie dotkliwe dla czytelników – powrót do numerów podwójnych. Bolesnym posunięciem było też pismo Sportu i Turystyki do ZG KW z 5 lipca 1963: Zawiadamiamy, że zgodnie z zarządzeniem Mi-

nisterstwa Kultury i Sztuki z marca br. objętość wszystkich czasopism uległa zmniejszeniu o 1/3, bez zmiany ceny”. Druk prowadziło od r. 1960 Technikum Poligraficzne w Warszawie, staranne w pracy, ale ogromnie powolne (produkcja zeszytu przeciągała się do 6 miesięcy). W połączeniu z powolnością książkowego wydawnictwa SiT powodowało to stałe kolizje z kalendarzem, do czego zresztą czytelnicy byli od dawna przyzwyczajeni.

Na tym tle łatwo zrozumieć doniosłość daty 22 czerwca 1966 r., kiedy to – z inicjatywy i staraniem dyrektora SiT, Alfreda Górnego – została podpisana umowa o przejęciu „Taternika” od ZG KW i „Sportu i Turystyki” przez Wydawnictwo „Prasa Sportowa” RSW „Prasa” – wstecz od 1 stycznia 1966 r. (od numerów 190-191). Umowa – z naszej strony podpisana przez prezesa Czesława Bajera i sekretarza Jana Kowalczyka – zagwarantowała Klubowi Wysokogórskiemu wpływ na obsadzanie stanowisk redakcyjnych, stwierdzała też w § 3, że „Wydawnictwo zachowa dotychczasowy charakter przejętego kwartalnika, który pozostaje nadal organem Klubu Wysokogórskiego”. Dla nadrobienia zaległości, rocznik 1966 połączono jeszcze w 2 zeszyty, jednak już od r. 1967 pismo zaczęło wychodzić co kwartał w stałej objętości 48 kolumn (48+4) i z ciągle polepszającą się szatą zewnętrzną. Wchodziło ono do dużego bloku pism sportowych, całość kosztów wydawania wzięła na siebie RSW „Prasa”, dystrybucją zajmował się „Ruch”. Do r. 1974 w „stopce” pisma figurował skład Komitetu Redakcyjnego, który nie zebrał się jednak ani razu i na wniosek Bolesława Chwaścińskiego został rozwiązany uchwałą Walnego Zjazdu.

W sytuacji boomu wyjazdowego – w latach 1960-1983 w sam Hindukusz wyruszyło z Polski ok. 650 osób – w zeszytach dominowała sprawozdawczość, szczególnie zagraniczna. Autorami byli przedstawiciele całej czołówki, nie wszyscy utalentowani literacko ale wszyscy chętni, gdyż publikacja w „Taterniku” nobilitowała ich i utrzymywała ich dokonania. Zatarć było niewiele, jedno z nich stanowił brak pełnej relacji ze zdobycia Kunyang Chhisha, uznano jednak, że wyprawa o takim znaczeniu winna otrzymać podsumowanie w formie książki. Od końca lat 70. przy artykułach zaczęły się pojawiać twarze ich autorów, a od r.1981 po ważniejszych materiałach angielskie lub niemieckie abstrakty, będące zarazem zwięzłymi podsumowaniami

treści. Wszystkie teksty były bezlitośnie skracane, autorzy otrzymywali je jednak zawsze do autoryzacji. Tematyka miała swoich ekspertów, i tak Hindukuszem opiekował się Jerzy Wala, nad Himalajami czuwał Zbigniew Kowalewski (wcześniej Lech Wróblewski), nad Arktyką Ryszard W. Schramm, nad jaskiniami – Rafał Kardaś, nad Tatrami – Andrzej Skłodowski i Andrzej Machnik. Jerzy Wala był też autorem wielu cennych map. Nie odmawiali współpracy autorzy przedwojenni, jak Jan A. Szczepański, Bolesław Chwaściński (cenne biografie), Czesław Bajer, Jerzy Hajdukiewicz. Z obcokrajowców pisywali m.in. Pit Schubert, Arno Puškás, Ivan Gálffy, Toni Hiebeler, Karl M. Herrligkoffer, Wolfgang Nairz, Adams H. Carter, z Rosjan Anatolij Owczinnikow, Iwan Antonowicz, Arij I. Polakow. O uśmiech dbali karykaturzyści Witold H. Nowosielski, Piotr Lutyński, Zbigniew Pytlík, Marek Konecki. Dopytyw literatury zagranicznej redaktor uzyskiwał przez stałą współpracę z dziesiątkami zagranicznych tytułów, takich nawet jak indyjska „Himavanta”, japońska „Iwa to Yuki” czy koreański „San Ak In”.

Mimo stabilizacji wydawniczej pisma, problemów pozostawało sporo. Najważniejszym było ściśle limitowanie objętości, z tendencją do jej stopniowego zmniejszania. Inny problem stanowiło stałe pogarszanie się jakości papieru a także druku, którego poziom w latach 80. budził zażenowanie. Pismo było deficytowe, dofinansowywane przez RSW „Prasa”. Zjawiskiem pozytywnym był – nielimitowany przez wydawcę – stały wzrost nakładu, który w r. 1970 wynosił 3500 egzemplarzy, w 1971 – 5000 a w 1983 nawet 10 000. Dwie trzecie nakładu rozchodziły się w prenumeracie, reszta w sprzedaży zeszytowej. Około 15% szło za granicę, szczególnie do Czechosłowacji i ZSRR. Z precyzyjnych analiz wynika, że głównymi odbiorcami były (tu dane za III kwartał 1974 r.) województwa warszawskie wraz z Warszawą 27%, Krakowskie 24%, katowickie 14%, wrocławskie 6,5%, łódzkie 5% i poznańskie 4%.

Kolejnym dotkliwym ciosem stały się restrykcje poprzedzające ogłoszenie stanu wojennego, które od r. 1981 spowodowały zredukowanie objętości wszystkich pism krajowych o połowę – w Tatarniku do 2 zeszytów (stron 96+8) rocznie. Nakład wzrastał jednak nadal i w r. 1988 osiągnął poziom 12 000. Zwroty ograniczały się do defektów fizycznych (1-1,5%) - przy limicie 20%. Na kolejne

redukcje objętości „Taternika” teren reagował wydawaniem lokalnych pism i pisemek, z których najdłużej ukazywał się, od r. 1985 drukiem, krakowski „Taterniczek” (1963-1991, redaktorzy: Marek Jarecki, Jerzy Potocki, Ewa Śledziwska i Krzysztof Baran). Jeśli chodzi o wiadomości bieżące, pewną wyрекę „Taternika” stanowił opracowywany przez J. Nykę powielaczowy „Biuletyn Informacyjny” KW i PZA (w latach 1969-1989 ok. 100 numerów po 3-4 kartki każdy).

Taternik i polityka

Przez cały okres politycznych uzależnień „Taternik” trzymał się z dala od polityki, choć reprezentował interesy Klubu i dbał o stałą obecność materiałów radzieckich, publikował też koniunkturalne nazwy w górach świata, co zresztą czynił także w latach międzywojennych. Żaden z powojennych redaktorów nie należał do partii (co w praktyce upartyjnionej RSW „Prasy” było sytuacją wyjątkową). Do treści pisma dyrekcje RSW „Prasa” nie wtrącały się, były tylko dwa przypadki narzucenia artykułów ideologicznych – w numerach 3/1969 i 1/1985 (ten drugi przygotowany przez Biuro Prasowe KC PZPR). Do rzadkości należały też polecenia ze strony ZG KW. Urząd Kontroli Prasy udzielał zgody na publikację tytułu i na zmiany w objętości, częstotliwości, nakładzie. Główną podstawą było zezwolenie nr 717 wydane 8 listopada 1946 roku. W latach 50. i 60. materiał szedł do GUKP dwu- a nawet trzykrotnie. Cenzorzy reagowali m.in. na mapy (Polska, ZSRR) a także na nazwiska (nie wszystkie) osób pozostałych za granicą. Przy zachowaniu ostrożności, z cenzurą nie było większych kłopotów – powściągliwość redaktora w tym względzie Jan Gondowicz porównał kiedyś do sterylności Acta Apostolicae Sedis. Problemy wybuchały jednak w momentach takich, jak „sprawa taterników” w r. 1969, kiedy około 50 ingerencji cenzury wstrzymało druk numeru na cały miesiąc.

W latach 1971-77 redaktorem technicznym „Taternika” był znany opozycjonista Wojciech Ziemiński, regularnie nękany przez służbę bezpieczeństwa. Dwukrotnie zdarzyły się wizyty „smutnych panów” – jeden przez cały dzień wertował roczniki „Taternika” w poszukiwaniu jakiegoś ukrywającego się byłego uczestnika wypraw (nie wpadł na to, że istniały roczne indeksy nazwisk), drugi szukał informacji o Marku Maj-

le i Prezesie Paczkowskim, zdradził się przy tym, że wiele wie z podsłuchów telefonicznych („przecież jesteście po imieniu i mówicie do niego stary”). Korespondencja zagraniczna nosiła ślady penetracji, listy z Wiednia czy Pragi szły 2 tygodnie, a w okresie stanu wojennego 6 tygodni. W końcu lat 80. pismom z dużą prenumeratą zagroziła galopująca inflacja. Numery przygotowane za r. 1989 nie poszły do druku, gdyż ich koszt przekraczały wielokrotnie uzyskane z prenumerat wpływy. W marcu 1990 r. nastąpiło zamknięcie RSW „Prasa-Książka-Ruch” – wyznaczono 3 dni na likwidację redakcji z całymi zbiorami, przy czym gros czasu zajęło rozliczenie się z księgozbioru i 2000 zeszytów archiwalnych pisma. Całe archiwum redakcyjne, kopy segregatorów, tysiące wycinków prasowych, część pism zagranicznych w nastroju paniki ekipa porządkowa przetrzucała do podstawionych kontenerów. Ocalał księgozbiór, który trafił do Zarządu PZA. 15 marca 1990 redaktor otrzymał pismo od Prezesa RSW „Prasa-Książka-Ruch”: „W związku z zaprzestaniem wydawania „Taternika” odwołuję Obywatela z dniem 31 marca 1990 roku ze stanowiska redaktora naczelnego tej redakcji”. Jego 28 lat redagowania pisma nie było europejskim rekordem, choć tylko niewielu kolegom po fachu dane było święcić 25-lecie (Pierre Vaney w „Les Alpes”, Sepp Walcher w ÖAZ, Max Oechslein w „Die Alpen”, Tine Orel w „Planinskim Vestniku”, Adams H. Carter w AAJ...).

Warszawa, Olsztyn, Łądek Zdrój

Wszystkie tytuły RSW „Prasa” uległy zamrożeniu i PZA straciło do „Taternika” wszelkie prawa. Były redaktor przygotował wtedy 4 numery namiastki „Taternika”, zatytułowanej „Taternik-Biuletyn” i w skromnej formie drukowanej w oficynie TEXT Krzysztofa Łozińskiego (1-3/1990 i 1/1991). Niechętnie przyjętą zmianę formatu na A5 narzuciły ograniczenia techniczne wydawcy. Równolegle pojawiły się na rynku nowe ofensywne periodyki górskie. W wyniku usilnych starań, w r. 1990 Związek odzyskał prawa do „Taternika”, wyszedł wtedy – nadal pod redakcją Józefa Nyki – 60-stronicowy numer 1/1991 i przygotowany został podwójny numer 2-3. Ten drugi spotkał niestety los podobny do numeru Mischkego: gotowy do druku materiał padł ofiarą awarii komputera redaktora (nie było jeszcze wówczas zabezpieczeń). Ponieważ ocalała większość maszynopisów, w numeracji ogólnej po-

zostawiono 2 vacaty z myślą o odtworzeniu tekstu, co jednak jak dotąd nie nastąpiło.

Redakcję „Taternika” objął w tym czasie Andrzej Kłos z Olsztyna, zawodowy dziennikarz a przy tym doświadczony wspinacz i szkoleniowiec. W latach 1993-1995 pismo ukazywało się jako półrocznik, później (1994-2000) w rytmie kwartalnym. Wydawcą pierwszych numerów był TEXT Krzysztofa Łozińskiego, z czego wynikły ciągnące się do dziś przykre sprawy sądowe. Wskutek konkurencji na rynku i braku solidnej dystrybucji nakłady spadły drastycznie. Andrzej Kłos wydał 23 zeszyty. Treść była bardzo urozmaicona – fala polskich sukcesów opadła i więcej miejsca pozostawało na sprawy bezpieczeństwa, szkolenia, sprzętu, kultury. Do głosu doszła nowa generacja autorów – m.in. tak później znanych, jak Piotr Pustelnik, Marek Pokszan, Ryszard Pawłowski, Maciej Tertelis, Wiktor Bolek, Wojciech T. Wajda. Ze starej gwardii pisali m.in. Jan Gondowicz, Andrzej Zawada, Apoloniusz Rajwa, Andrzej Gierych, Leszek Nowiński, Janusz Mączka, Jerzy Wala. W r. 1997 staraniem Barbary Morawskiej-Nowak „Taternik Suplement 1997”, poświęcony 60-leciu Klubu Wysokogórskiego. Oprócz prac redaktorki, zawarł on wywiad z Antonim Janikiem oraz artykuły Stanisława Biela i Ryszarda Schramma.

Rosnące wymagania ze strony Zarządu PZA spowodowały zmianę na stanowisku redaktora naczelnego – następcą Kłosa został Zbigniew Piotrowicz z Ładka Zdroju, który przygotował odświeżony graficznie i treściowo numer 1/2001. „Wprowadzamy kilka nowych działów – pisał na s. 1 – powiększamy objętość, poprawiamy stronę edytorską, wracamy do kilku pomysłów sprzed lat kilkunastu i kilkudziesięciu. (...) Zdecydowanie pozostajemy przy dotychczasowym formacie”. Udaną szatę graficzną – utrzymaną do dziś – zaprojektował Piotr Niewierowicz, a jednobarwne dotąd kolumny pisma ożywił kolor. W numerze tym godne pożegnanie otrzymał najbardziej zasłużony z redaktorów „Taternika” Witold H. Paryski a czytelnicy jako upominek dostali reprint „Taternika” nr 1 z 1907 roku. Z dalszą wydatną pomocą Wojciecha Świeckiego (por. nr 4/2001 s.79) powstały 3 kolejne numery – równie ładnie wydrukowane i ciekawe treściowo. Dowcipy rysunkowe zamieszczali Marek Konecki i Jakub Wiejacki, jako opiekun wyodrębnionego działu jaskiniowego pojawił się w stopce Wojciech W. Wiśniewski, interesującym novum była stała

TATERNIK $\frac{1}{1990}$
BIULETYN

Puchar Świata 1989

[illegible][illegible]

wkładka „Archivalia” – w numerach 3 i 4 poświęcona klubowi i „Taternikowi” z Winterthur. Przeciążony obowiązkami służbowymi, Zbigniew Piotrowicz dość szybko zrezygnował z urzędu redaktora „Taternika” – nr 4 na prośbę PZA z lipca 2002 zreago-

wał w zasadzie Wojciech Świącicki.

Z początkiem r. 2003 ster redakcji przejął obecny redaktor naczelny, Janusz Kurczab, a jego pierwszy numer (1-2/2003) – bogaty treściowo choć nieco „potaniony” wydawniczo – zadedykowany został 100-leciu polskiej organizacji taternickiej. Niezauważenie przemknął ogólnego zbioru numer 300. Nowy redaktor szybko znów ustabilizował pismo i wyprowadził je na kolejną prostą. W latach 1991-2006 nakładcą pisma był PZA, dla którego stanowiło poważną pozycję w skromnym budżecie. Problemy finansowe powodowały redukcje w objętości i częstotliwości, a nawet pomysły przeniesienia „Taternika” z formy drukowanej w elektroniczną. Z dniem 1 stycznia 2007 wydawanie przejął kielecki antykwariat „Filar” Henryka Rączki, który jest obecnie wydawcą i dystrybutorem.

Ad multos annos!

Tak wyglądają w dużym skrócie dzieje „Taternika” – ogniwa łączącego polskie środowisko wysokogórskie – z sobą i ze światem. Stanowił „Taternik” żywą kronikę polskiego taternictwa i alpinizmu, ma swój często podkreślany wkład w jego tak wspaniały rozkwit. Przez wiele lat przypadała mu też w udziale rola arki przymierza między alpinistami wszystkich krajów „bloku wschodniego”, zwłaszcza słowiańskich, gdzie miał wielu czytelników. Ale nie tylko to. W ciągu 100 lat istnienia dużo zrobił w dziele krzewienia wiedzy geograficznej i poznawania gór świata – dla niektórych rejonów górskich Ameryki czy Azji był i wciąż pozostaje ważnym źródłem informacji. Przyczynił się też wydawnie do pomnożenia wiedzy o naszych własnych Tatrach, gdzie – o tym pamięta mało kto – oficjalnie powołał do życia ok. 200 nowych

nazw, wśród nich tak dziś utrwalone, jak Żłobisty Szczyt, Krzesany Róg, Żabia Czuba, Modra Turnia, Nawiesista Turnia czy Zadni Kościelec. Duże zasługi ma nasze pismo w dziedzinie ochrony przyrody gór i realizacji Tatrzańskiego Parku Narodowego. Wszak to z jego łamów, już w r. 1907, padło po raz pierwszy wezwanie „szanujcie ciszę i majestat górski!”

Włożyłteż „Taternik” swą skromną cegielkę w budowlę kultury polskiej. W nim ogłosił Mieczysław Karłowicz szkic „W jesienym słońcu” a Ferdynand Goetel swą przewrotną „Wycieczkę, jak się o niej nie pisze”. Tu ukształtowała się forma reportażowej relacji taternickiej, pogardliwie nazwanej bujdałką, a z czasem nobilitowanej przez Jacka Kolbuszewskiego (w jego „Czarnym Szczycie”). Na łamach naszego pisma zbierali pierwsze doświadczenia tak wybitni późniejsi autorzy, jak Jan K. Dorawski, Wawrzyniec Żuławski, Andrzej Wilczkowski, Adam Skoczyła, Maciej Kuczyński, Przemysław Burchard, Jacek Kolbuszewski, Michał Jagiełło, Andrzej Paczkowski, rysunki zamieszczali Andrzej Pietsch, Tadeusz Małachowski, Simek Skierski, Arno Puškáš, Marek Szczesny. Może ktoś kiedyś podejmie próbę zestawienia nazwisk dziennikarzy i literatów, którzy z łamów „Taternika” startowali do późniejszych karier? Wojenne numery „Taternika” należą do historii polskiej prasy podziemnej, a zeszyty z Winterthur – do dziejów polskiej prasy wojennej na Zachodzie. Warto by pomyśleć o wznowieniu tych skarbów drukiem, należałoby też wydać skromny numer Mischkego a także ekshumować i wydrukować ów zniszczony numer 2-3/1990, zawierający kilka ważnych artykułów. W archiwach pozostałych po Paryskim powinny być teczki z materiałami do jego „wykolejonych” numerów (3-4/1949 i 1-4/1953), czeka też na wydanie opracowany przez niego spis treści i indeks „Taternika” 1907-1963.

Piszący te słowa ma 83 lata i często słyszy od młodszych kolegów żartobliwe pytania „to w tym wieku jeszcze ludzie żyją?”. A tu „Taternik” mija właśnie setkę i nie tylko żyje, ale wcale nie czuje się przygarbiony ciężarem minionego czasu, przeciwnie – jest pełen wigoru i zamierzeń na przyszłość. Życzymy mu, żeby plany udało się zrealizować a dobrych lat była przed nim co najmniej druga setka. Ad multos annos, kochany „Taterniku”!

Ludzie, którzy „Taternika” tworzyli

Kazimierz Panek

(1873-1935). Dr nauk lekarskich, później też lekarz weterynarii. Od 1906 r. profesor, a w latach 1919-20 rektor Akademii Weterynarii we Lwowie. Redaktor czasopism lekarskich (1912-20). Po 1920 r. donosił prace badawcze nad chorobami zakaźnymi zwierząt domowych. Taternik i narciarz. Założyciel zespołu taternickiego „Bacówka” (1904). Od 1906 r. członek Zarządu ST TT, w latach 1907 jej prezes a zarazem reorganizator, w sensie przekształcenia w zamknięty klub o nastawieniu sportowym. Jeden z twórców i pierwszy przewodniczący Karpackiego Tow. Narciarzy (1907). Założyciel i współtwórca jego koncepcji (zimą 1906-07) „Taternika” (1907) – „odpowiedzialny redaktor i wydawca” pierwszego rocznika, a do r. 1910 członek ścisłego Komitetu Redakcyjnego. Źyciorys: Wielka Encyklopedia Tatrzańska (WET) s.873.



Roman Kordys

(1886-1934). Dr praw, dziennikarz (w latach 1922-29 redaktor naczelny „Słowa Polskiego” później redaktor IKC). Wybitny taternik – autor znanego hasła „przyszłość taternictwa leży po Tatrach”. Pierwsze przejścia tatrzańskich grani (m. in. Kościelca, Wieleń, Batorywieckiej Grani, Żabiego Konia, Hrubego), pierwsze wejścia ścianami (m. in. pn. Mnicha i pn. Wysokiej). W latach 1907-12 wędrówki zimowe (wśród nich pierwsze wejścia zimowe na Kościelec i Żółtą Turnię. Wyjazdy sportowe w Alpy Wallijskie (1912) oraz Alpy Wschodnie (1908, 1913 i 1914 – w tym Dolomity 1908 i 1913). Współzałożyciel „Kółka Taterników” (1904 – później „Himalaja Klub”). W latach 1906-11 działacz Zarządu ST TT, od r. 1928 jej członek honorowy, a aż po r. 1930 – wpływowy ideolog i doradca. Współzałożyciel „Taternika” i jeden z twórców jego do dziś utrzymanej koncepcji. Od początku istnienia pisma członek ścisłej redakcji, w latach 1908-11 redaktor naczelny (zredagował 468 stron druku), później stały współpracownik i inspirator (w Komitecie Redakcyjnym do r. 1931). Członek honorowy KW 1928. Źyciorys: WET s. 562.



Zygmunt A. Klemensiewicz

(1886-1963). Studiował chemię i fizykę, m.in. pod kierunkiem M. Smoluchowskiego. Od r. 1920 profesor fizyki we Lwowie. Lata 1940-44 spędził w Kazachstanie, Iranie i Kairze, w l. 1944-51 zorganizował i prowadził polską wyższą szkołę w Londynie. Po powrocie do kraju (1956) profesor Politechniki Śląskiej. Turystyka tatrzańska od r. 1901, w l. 1905-12 ok. 30 pierwszych wejść (m. in. w r. 1906 pn. ścianami Batorywieckiego i Krywania), szereg premier zimowych (w r. 1909 m.in. Batorywiecki Szczyt, Dwoista Turnia i Żłobisty Szczyt). Penetracja letnia i zimowa Karpat Wschodnich (prace przewodnikowe). Od 1908 niemal coroczne wyjazdy w Alpy, które Klemensiewicz znał bodaj najlepiej z Polaków. W latach wojny wejścia w Azji, m.in. w paśmie Elbursu. Wybitna działalność organizacyjna. W r. 1904 współzałożyciel „Kółka Taterników” (zob. Kordys), w l. 1909-11 prezes ST TT, długoletni prezes Karpackiego Tow. Narciarzy (1919-39) i wiceprezes PZN (1922-39). Opracowania książkowe: 1913 – „Zasady taternictwa”, 1937 – „Turystyka wysokogórska”. Od r. 1907 w składzie redakcji „Taternika”, w latach 1911-12 redaktor naczelny (przygotował 176 kolumn druku). Fotograf górski. Członek honorowy KW 1928. Źyciorys: WET s. 517.



Mieczysław Świerż

(1891-1929). Dr filozofii (studia polonistyczne w UJ w latach 1909-13), nauczyciel szkół średnich w Zakopanem. Syn znanego działacza TT Leopolda, sam wniósł ogromny wkład w rozwój naszych organizacji górskich. Był współzałożycielem klubu „Kilimandżaro” (1907), w zarządzie ST TT (później ST PTT) pracował od r. 1909, w latach 1920-28 na stanowisku prezesa. W latach 1910-12 był prezesem SN AZS, a w 1920 założycielem i pierwszym prezesem PZN. Najwybitniejszy taternik okresu I wojny światowej. Przeszło 50 pierwszych wejść, w tym grań Żabiego Mnicha (1910) i jego pn.-zach. komin (1921), Żłobisty wprost z Doliny Kaczej (1911), pd. ściana Małego Lodowego (1912), pn.-wsch. ściana Małego Ganku (1921), wsch. ściana Mięszowieckiego (1921). W zimie wszedł jako pierwszy m.in. na Szeroką Jaworzyńską (1912). Ogłosił ok. 80 artykułów, w tym cenne eseje z zakresu historii taternictwa (Staszic w Tatrach, taternictwo kobiece itp.). W latach 1912-27 wydał 4 wersje popularnego przewodnika po Tatrach. Współ z J. Chmielowskim napisał świetny przewodnik wspinaczkowy „Tatry Wysokie” (1925-26). W r. 1911 wszedł do Komitetu Redakcyjnego „Taternika”, a w latach 1913-28 był jego redaktorem naczelnym (zredagował 465 kolumn). „Moim zdaniem jest Mieczysław Świerż najwybitniejszym pisarzem taternickim lat 1919-1930, jedynym w tym dwudziestoleciu godnym następcą Karłowicza” (Jan A. Szczepański, 1958). Zginął 5 VII 1929 na zach. ścianie Kościelca. Życiorys: WET s. 1213.



Stanisław Krystyn Zaremba

(1903-1990). Wybitny matematyk, autor licznych prac naukowych. Po wojnie prof. matematyki w Wielkiej Brytanii. Współtwórca grupy „Syfonów” (1926/27) i aktywista ST AZS (w zarządzie do końca 1930 r.), w okresie 1927-30 we władzach PTT, 1930-37 wiceprezes Oddziału w Wilnie. W l. 1928-30 członek zarządu ST PTT. W Tatrach ok. 30 nowych dróg – m. in. na Rysy od pn.-zach. (1926), pn.-zach. ścianą Wielickiego Szczytu (1926), pn. Małego Koziego Wierchu (1926, 1927). Szereg ważnych pierwszych wejść zimowych, m.in. na Grań Hrubego od Małego Ogrodu (1928, samotnie), na Mały Kozi Wierch od pn. (1929, samotnie), na Jaworowy Szczyt od pd. zach. (1930, samotnie), na Łomnicę od pn. całością ściany (1933), na Kaczy Szczyt pn. grzędą (1935 – z trawersowaniem). Wyjeżdżał w Alpy, od r. 1930 był członkiem TOPR. W czasie wojny wejścia w górach Azji (m.in. w Ałaju i Elbursie), po wojnie wędrowki po górach zach. Europy i wspinaczki w Wielkiej Brytanii. Działalność popularyzatorska: odczyty i artykuły ideologiczne (wśród nich szeroko dyskutowane „Tezy”, 1931), relacje z przeżyć (m.in. w „Wierchach” i „Taterniku”). Od r. 1928 członek Komitetu Redakcyjnego „Taternika”, w latach 1929-30 redaktor naczelny (zredagował 168 kolumn). Członek honorowy PZA 1980. Hasło w WET s. 1391.



Jan Alfred Szczepański

(1902-1991). Dziennikarz i literat. Studia polonistyczne w Krakowie w latach 1921-25. Od r. 1948 stały krytyk teatralny, później też filmowy „Trybuny Ludu”. Wspinaczki od r. 1922, z liną od 1924. Współtwórca i ideolog grupy „Syfonów” (1926/1927). od 1925 działacz ST AZS, a następnie ST PTT i KW PTT. Wybitna działalność taternicka: ok. 130 nowych dróg, w tym I wejścia pn. murem grani Hrubego (1926), pd.-zach. żlebem Koziej Przełęczy Wyżniej (1927), Dolinką Śnieżną na Lodowy (1929), wsch. ścianą Gierlachu (1930), pn. ścianami muru Jaworowych Turni (1930, 1931), środkiem pn.-zach. ściany Lodowego. Pionierskie wspinaczki zimowe – m.in. I wejście od pn. na





Pasma Babiogórskie - maj 1979. Jaszcz na jednej z ostatnich wycieczek górskich. Obok Jerzy Wala. Fot. J. Nyka

(1956), „Siedem kręgów wtajemniczenia” (1959). Książkowe reportaże literackie z podróży. Niewydana powieść „Góry śniade jak my”. Członek honorowy KW od 1963. Życiorys: WET s. 1184.

Zdzisław Dąbrowski

(1911-1939). Urodził się w Kijowie, matura w Częstochowie 1928, studia (przerwane) na Politechnice Warszawskiej (Wydział Architektury). Pierwsze publikacje w piśmie gimnazjalnym „Świat Szkolny”. Taternik o zacięciu poznawczym, w l. 1931-39 ok. 20 nowych dróg i ważniejszych wariantów, na których czoło wysuwa się piękna droga środkiem wsch. ściany Zadniej Baszty (1934). W r. 1936 uczestnik wyjazdu KW w Alpy austriackie. Świetny znawca Tatr i zagadnień związanych z alpinizmem (m. in. Himalajami). Działacz organizacyjny: w l. 1936-38 członek ZG KW, od 1936 r. sekretarz Koła Warszawskiego. Współtwórca koncepcji monograficznego przewodnika taternickiego (1935). Popularyzator taternictwa i alpinizmu przez prelekcje i artykuły w prasie. Od r. 1932 współpracował z „Taternikiem” jako autor rozpraw programowych i historycznych oraz jako zdolny grafik (plany, rysunki ścian, kapitalna mapa Himalajów). W latach 1936-39 był redaktorem naczelnym, zredagował łącznie 488 kolumn. We wrześniu 1939 walczył w obronie Warszawy. Zmarł 28 września w wyniku postrzału głowy. Pośmiertnie odznaczony odznaką honorową PTT. Życiorys w WET s.206, dalsze materiały biograficzne zebrał Zbigniew Biernacki, ogłosiła je m.in. „Gazeta Częstochowska” (1995, nr 41).



Tadeusz Orłowski

(Ur. 1917). Lekarz internista, syn światowej sławy lekarza Witolda Orłowskiego. Kierownik I Kliniki Chorób Wewnętrznych w Warszawie. Od r. 1962 profesor Akademii Medycznej, od 1964 członek PAN. Autor ok. 180 prac z dziedziny patofizjologii i transplantacji nerek, redaktor „Polskiego Archiwum Medycyny Wewnętrznej” (założonego przez ojca). Jako działacz KW pełnił różne funkcje w jego władzach, w latach 1939-45 był konspiracyjnym prezesem. Jeden z czołowych taterników współczesnych – szereg pierwszorzędnych nowych dróg: Żlebem Drege'a (1938), ścianą Galerii Gankowej (1939), pn. ścianą Żabiego Szczytu Wyżniego (1946 i 1948), pn.-wsch. ścianą Mięgu-szowieckiego Szczytu Pośredniego (1948), filarem Kopy Spadowej (1949) i wiele innych. Wyjazdy sportowe w Alpy w latach 1947 (m.in. wsch. ściana Aiguille du Grépon i Filar Boccalattego na Mont Blanc du Tacul) oraz 1956 (I wejście od zach. na Aiguille du Moine i wsch. ściana Dent du Requin). W latach 1954-55 wspinaczki w górach Korei Północnej. Współpra-



ca z „Taternikiem” od r. 1935, w l. 1940-44 redaktor naczelny roczników wydawanych konspiracyjnie. Współautor I tomu dzieła „W skałach i lodach świata”. Wysokie odznaczenia państwowe, członek honorowy KW od 1960. Życiorys: WET s. 855. W t. 12 „Pamiętnika PTT” (2003) ogłosił cenne „Fragmenty wspomnień tatrzańskich” (s.115-132)

Witold H. Paryski

(1909-2000). Wybitny alpinista i znawca spraw górskich, od r. 1933 badacz nazewnictwa tatrzańskiego. Studia medyczne. Działacz organizacji: od 1930 we władzach ST PTT (później KW), kilka razy z funkcją wiceprezesa. Od 1929 w zarządzie ST AZS, w l. 1932-34 członek zarządu Sekcji Taternickiej KS „Tatry”. Od r. 1928 członek TOPR, w latach 1945-46 jego kierownik. Przewodnik tatrzański (od 1948), a od 1937 egzaminator i organizator szkolenia przewodnickiego. Liczne pierwsze wejścia w Tatrach, m.in. na Kozi Wierch Filarem Leporowskiego (1929), żlebem od pn. na Kozia Przełęcz Wyżnią (1929), pn. ścianą Świstowej Czuby (1930), pn.-wsch. ścianą Świnicy (1936), pn.-zach. filarem Wideł (1953). Wspinaczki zimowe. W r. 1936 wyjazd w Andy z II Polską Wyprawą – prace naukowe, pierwsze wejścia na Cerro de los Patos (6250 m), pd.-zach. wierzchołek Cerro Nacimiento (6330 m, samotnie), wierzchołki Nevado Tres Cruces (6620 i 6630 m, drugie samotnie), Volcan de Copiapo (6080 m). W latach 1938-39 podróż do Ameryki Środkowej. Publikacje zakresu tatrologii i toponomastyki. Prace redakcyjne – m.in. książka M. Zaruskiego. Przekłady dzieł naukowych na język angielski. Współpraca z „Taternikiem” od r. 1929. Redaktor naczelny w latach 1947-49, 1956 i 1960-63 (łącznie 1174 strony druku). Książki: „Zasady turystyki górskiej” (1953, współautor), „W górach Atakamy” (1957), monograficzny przewodnik taternicki „Tatry Wysokie” (XXV tomów w latach 1951-88). „Encyklopedia Tatrzańska” (1973), „Wielka Encyklopedia Tatrzańska” (1995), niewydane m.in. słownik gwary góralskiej i indeks zawartości „Taternika” 1907-1963. Członek honorowy PZA 1977. Życiorys: WET s. 882.



Antoni Wala

(Ur. 1930). Magister inżynier. Studia geologiczne w AGH w latach 1948-54. Taternictwo uprawia od r. 1952. Działalność sportowa do r. 1959 – wiele wartościowych powtórzeń: Komin Świerza na Kościelcu (1952), Komin Pokutników (1952), grań kotliny Morskiego Oka (1953), „Kant” Zamarłej Turni (1954), drogi Łapińskiego na Mniuchu (1955) i Kazałnicy (1956). Wspinaczki w zimie – m.in. II przejście zimowe pn.-wsch. ściany Mięguszowieckiego Pośredniego (1954), I wejście zimowe na Zadnią Garajową Ławkę (1955), wsch. ściana Mięguszowieckiego Szczytu (1957). Wyjazdy sportowe w masyw Mont Blanc (1956), Alpy Berneńskie (1957 – m. in. pd. ściana Möncha) oraz w rejon Adyłu-su (1958 i 1959 – Donguz Orun pn.-wsch. granią, wejście na Wschodnią Szcheldę). W r. 1954 współpracował z redakcją „Gór Wysokich”, sam zredagował zeszyt 3 tej serii. W r. 1956 w Komitecie Redakcyjnym „Taternika”. W latach 1957-1960 redaktor naczelny – łącznie zredagował 636 stron druku.



Józef Nyka

Ur. 1924 w Wielkopolsce, 1940 wysiedlony na Podhale. Wycieczki w Tatry. Działalność konspiracyjna, 1944-45 partyzant I Pułku Strzelców Podhalańskich (Gorce, Tatry – pseud. Szpis), po wojnie w szeregach WIN. 1947-51 studia dziennikarskie i językowe (japonistyka). Taternictwo od 1952-53, członek KW od 1960, ok. 15 nowych dróg, m.in. wsch. filarem Rysów, wsch. ścianą Młynarczyka, pn. ścianą Małego Młynarza, wsch. ścianą Mniszka. Pierwsze wejścia zimowe m.in. pn. ścianą Świstowej Czuby, wsch. ścianą Mięguszowieckiego Szczytu. Od 1962 wyjazdy w Dolomity i Alpy lodowcowe (1965 I prze-



ście pn. ściany Schiary). 1960-80 członek zarządów KW i PZA. Publicystyka krajoznawcza: artykuły prasowe, książkowe monografie Doliny Pięciu Stawów Polskich (1954) i Doliny Rybiego Potoku (1956). Przeróbki przewodnika T. Zwolińskiego (1958-1966), własne przewodniki: Żelazowa Wola (1954, 1960), Gorce (3 wydania 1959-1974), Pieniny (1963 – IX wyd. 2006), Tatry Polskie (1969 – XV wyd. 2007), Tatry (1972, 1994), Die Polnische Tatra (1976), Tatry Słowackie (1997 – V wyd. 1995). W latach 1968-69 albumiki „W Pieninach”, „W Gorcach”, „W polskich Tatrach” (w 3-4 wersjach językowych), 1976 książeczka „Alpinizm – wszystko o...” Opracowania dzieł zbiorowych: „Burza nad Alpami” (1958, 1959), „Kunyang Chhish zdobyty” (1973, wydanie niem. 1977). Redaktor „Taternika 1963-1991 (zredagował 81 zeszytów), „Biuletynu Informacyjnego” KW i PZA (1969-88), ang. biuletynu UIAA „Expedoc” (1989-96), „Głosu Seniora” (od 1980). 1963-1998 współpraca międzynarodowa – przeszło 1000 artykułów i doniesień. Członek honorowy KW (1974), Hiszpańskiego Królewskiego Tow. Alpinizmu „Penalara” (1982), Himalayan Club (1984). Odznaczenia wojenne.

Andrzej Kłos

Ur. 1951 w Szczytnie. 1969-74 studia na Wydziale Zootechnicznym Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie (mgr. inż.). Przez 8 lat pracował jako asystent fizjologii zwierząt na Wydziale Biologii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w tym mieście. W r. 1983 został dziennikarzem i uprawiał ten zawód przez 20 lat. Wspina się od r. 1972, od 1983 jest instruktorem PZA, z państwowymi uprawnieniami (ukończony kurs na AWF w Krakowie). Do stanu wojennego wyjeżdżał głównie na Słowację. Uczestniczył w dwóch większych wyprawach. W Hindukuszu wszedł 1977 na jeden z wierzchołków Noszaka (ok. 7400 m). W Andach Peruwiańskich (1986) był na 7 szczytach - w Cordillera Blanca m.in. na Chopicalqui Este (5605 m), Nevado Urus (5497 m) i Nevado Ishinka (5532 m). Wiele razy wyjeżdżał w Alpy. Podczas stażu w ÉNSA w 1991 r. przeszedł Filar Cordiera na Grand Charmoiz, przy czym jego partnerem był... Patrick Cordier. „Taternikiem” kierował w latach 1993-2000 (zredagował 24 numery).



Zbigniew Piotrowicz

Ur. 1958 w Szprotawie. Z wykształcenia psycholog (Uniwersytet im. A. Mickiewicza w Poznaniu). Dziennikarz, dyrektor instytucji kultury, burmistrz, działacz polityczny. Mieszka w Łądku Zdroju, gdzie od 1995 roku organizuje Przegląd Filmów Górskich im. Andrzeja Zawady. Wspinaczki od 1981, najpierw w Sokolikach; od 1988 instruktor taternictwa PZA. W Tatrach przeszedł m.in. drogę Wachowicza na Mnichu, kant filara Kazalnicy, drogę Čepeli na Kozim Mnichu, zimą – m.in. Komin Pokutników na Buczynowej Strażnicy. Działalność górską prowadził także w Alpach, na Bałkanach, w Himalajach (Parchamo 6273), Pamirze (Pik Czetyrioch, 6400), Tien-Szaniu (pierwsze wejście na Pik Edelwajs, 6100 m – wraz z Andrzejem Dutkiewiczem i Zbigniewem Trzmielem), Ladakhu (Kang Yaze West, 6350 m) i Atlasie Wysokim. W 1988 powołał do życia i 4 lata redagował biuletyn informacyjny KW w Poznaniu „Lu-uuz!”. Autor kilkudziesięciu artykułów m.in. w Górach, Taterniku, Optymieście, Karkonoszach, Na szlaku, n.p.m., Tygodniku Podhalańskim. Wraz z Jerzym Bieleckim opracował i wydał pierwszy przewodnik wspinaczkowy po Skalkach Łądeckich (1996). Współautor zbiorowego opracowania „Klub Wysokogórski w Poznaniu 1950-2000”, redaktor i współautor książki „Jak zrobić film górski. Nieporadnik” (2002). W latach 2001-2002 redaktor naczelny Taternika (numery 1-4 2001).



Opracowanie: Józef Nyka

Obleżenie Galerii

Z początkiem sierpnia stan zaludnienia Doliny Czeskiej osiągnął rekordową cyfrę. Przy sześciu ogniskach gromadziło się na noc dwadzieścioro łazików.

W „Uchu” rezydowało dwu pradziadków i jeden dziadek współczesnego pokolenia taternickiego. „Lodownia” stała chłodną pustką, za to w „Salonie” kwaterowała pomocnicza ekipa góralska w liczbie czterech alkoholiczków. W rejonie kosówki kryły się cztery namioty: Zielony, u progu doliny, należał do nie-dobitków szturmowej kompanii krakowskiej. Szary, na buli, walił się od nadmiaru członków i adeptów „Klubu Wątlých i Wesołych”. Biały, w cieniu Pustych Turni, zawierał troje groźnych machabeuszów. Ostatni, łąciasty jak krowa, falował od westchnień „Fräulein Doktor” i jej dwu żółtowołosych pacjentów.

A na ścieżce wiodącej ku Dolinie Czeskiej tkwił świeżo przybity napis zabraniający surowo wstępu w te rejon.

Zanosi się na fenomenalną eksploatację otoczenia Czeskiej. Grad problemów zdaje się wisieć w powietrzu. I to jakich! Przecież nie dalej jak ostatniego lipca „diretissimie” na Galerii Gankowej zabrakło raptem jednej długości liny: nocne ciemności przerwały brawurowy atak „Wątlaków”.

Rekonesans, wysłany z szarego namiotu do innych obozowisk, stwierdza: Trzy partie ruszyły ku Galerii Gankowej, machabeusze na Młynarza, reszta próżnuje.

Mgły wiszą nad doliną. Od stawu wieje chłód. Wiatr świszczę w kosówkach. Trawy matowe od wilgoci, przybite do ziemi. W wirze niosącym pierwsze krople zimnego deszczu pnie się ku Spadowej Dolince trójka „Wątlaków”. Czy bardziej śliskie są płyty granitu, czy obmokłe trawniczki? Zginęły we mgle szczyty i dno doliny. Tylko boczna grań Czeskiej Turni jak dziób gigantycznego okrętu wzdębia się nad siwe fale.

Bez echa niosą się głosy. Ktoś schodzi ze ścianek Spadowej. Całą karawaną. Wielokrotnie załamana lina spływa wśród urwistych półek i gzymsów.

- Gąsienica...

- Nawet dwóch. Władek i Józek. Aha, to partia patriarchów.

- Toć przecież patriarchowie walczą z Galerią.

- Mgła – wyjaśnia domyślnie Maciek.

Argument mocny. „Wątlaki” czepiają się go jak tonący brzytwy. Spływają w trawy ku dolinie. Jeśli patriarchowie zrezygnowali z Galerii dla trawersu Spadowej Przełęczki, co mają uczynić skromni „wyznawcy” zamierzający zdobyć Spadową Dolinkę. Trawersują Czeską Dolinę w kierunku niewidocznego namiotu.

Szarym, późnym popołudniem wylania się z obmokłych kosówek druga partia wielbicieli Galerii. Stolik i Półpanek. Przeszli lewą stronę bez przygód. Czy widzieli trzecią partię, Żółtogłowych? Nie. Tylko na podejściu. Na Galerię Żółtogłowi nie poszli. Słuchać ich było, gdy jak dzieciół kołatali gdzieś jakby na Wysokiej. Popłoch. Cóż to nowego? Między jedną herbatą a drugą mówi się o ekspedycji ratunkowej. Byłaby już czwarta z rzędu. Nie, tego już za wiele. W najgorszym razie pośle im się pogotowie. Jest przecież na miejscu. Pali nawet wiatrę widoczną jak pożar Moskwy.

W kulminacyjnym momencie niepokoju – piorunująca sensacja. Pojawia się starszy z Żółtogłowych, najniewinniej prosząc o cukier do herbaty.

Wrócili, a jakże. Skąd? Z Rumanowej Przełęczki. Robili pierwsze wejście na zachodnie siodło, wracali przez Wysoką i Wagę.

- Wspaniała droga – Ausser jak cholera! – entuzjazmuje się Żółtogłowy.

- Ba, ale to rezerwat doktora. Sprzątnęliście mu rozpoczęty problem.

- Ale to za jego pozwoleniem. A jutro idę z nim na prawą stronę Galerii! – bucha entuzjazmem blondyn.

- Żebyś was tylko nie potrzebował zdejmować – ostrzega Stolik – jestem *in loco parentis*, ale mam tego dość.

Namiot tymczasem zaczyna wskutek tłoku przeciekać. Żółtowołosy znika, Stolik i Maciek pakują się w Zdarsky’ego, reszta układa się wśród zwału plecaków w ciekącym lokalu. Jutro chyba przyjdzie spać cały dzień: deszcz bębni w napięte płótno.

Rankiem jest jeszcze mglisto, ale przejaśnia się. Świstowe Turnie płyną widmowymi żaglami przez kipiące morze o falach błękitnych, śniadych i perłowych. Kolejno odsłaniają się coraz nowe wyspy i rafy, by za chwilę znów zniknąć jak majak. Niewyraźna pogoda nie zmienia się. Na progu Spadowej, na Czeskiej Przełęczce, na grani Niżnich Rysów: mgła trwa. Niebo jest nisko nawisłe. Skała wyziębła. Ogień rozpalony na szczycie płonie na pozór bez dymu.

Na próżno czekamy na odsłonięcie się Galerii. W głuchej ciszy dolatuje daleki, wąty szczęk bicia haków. „Galernicy” pracują na prawej stronie ściany.

- A wy, Stoliku, zśliście po hakach?... Ten trawers...

Stolik wzrusza ramionami z indygnacją. Jeszcze by.

Teraz na Czeską Turnię. Byle bliżej Galerii. Może ułowimy odsłonięty widok.

Ekspozycja tajemniczo szczeźła. Z ostrza grani nie widać nic prócz trawiastych półek o kilkanaście metrów poniżej. Nieoczekiwanie szybko wyłania się trójkątna sylweta Czeskiej Turni. Jeszcze parę kruchych turniczek

i siodło. Z oślizgłych płyt zachodniej grani kapią z szelestem gęste krople wody. Stolik jednak ściąga buty, skręcony w „S” pod przewieszką. Ciska w dół chodakami: „łatwo choć ryzykownie”. I po jednej linie ma już trudności za sobą. Mości się na pochyłej półce w oczekiwaniu na Maćka, który z uporem wycina ausserowe warianty daleko na lewo od zwykłej drogi.

Sapanie Macieja zmienia się w rżenie. Drabina sygnalizuje rozpaczliwymi gestami do Stolika na temat: „Uj, niedobrze, niedobrze”.

- Stolik, uważaj! ...Zaraz... polecę... – stęka przejmująco delikwent. I z właściwą sobie przekorą nie tylko nie leci, ale po nieskończeniu długiej sekundzie przelapuje chwyt i mija przewieszkę, dochodzi do wściekło zapartego Stolika. Grań jest krótka, potem dużo, dużo mokrej trawy, jak wodospad ściekającej żłebami ku ścianie Stawiańskiej Zmarzłego. Tam, gdzie prawdopodobnie (bo może wziął ją na pamiątkę Czesiek) tkwi Galeria – zupełnie cicho. Nie słychać bicia haków. Białło i głucho.

Jesteśmy tuż nad stawem, gdy wreszcie coś zaczyna tłuc się we mgle. Buty zgrzytają po żwirze. Słychać głos Czesia, dziwnie wyprany ze zwykłego entuzjazmu. Czyżby klęska?... Nie. Dopięli swego. Ale „prawa strona” dała im szkołę. Wracają podrapani, trochę przemokli, trochę obdarci. O ścianie mówią z pełnym szacunkiem. W górnej partii wypatrywali możliwości przejścia przewieszek środkiem, w przedłużeniu drogi Stolika:

- To się da zrobić – twierdzi Doktor – ale trzeba trawersować w lewo nie w prawo.

Właśnie tam, przy trawersie w prawo, 50 metrów poniżej krawędzi, dwa dni temu Stolik poleciał po raz trzeci w życiu, a doktor zgubił kapelusz. Tak mówi legenda. Kapelusza teraz nie znaleziono, natomiast Czesio powiększył swą kolekcję o strzępy zbutwiałej liny, pętlę i dwa haki. Dzwoniąc żelastwem otwiera teraz zwycięski odwrót.

Pustką już stoją wszystkie trzy koleby. Zeszła ku Roztoce partia



Ganek i Galeria Gankowa.

Fot. R. Ziemak

patriarchów z eskortą, namioty pozwijane, stan zaludnienia Czeskiej zmalał do ośmiu głów.

Zacisznie i przytulnie wygląda zielone dno doliny z wysokości progu Zmarzłego Stawu. Zziębnięte słońce ślizga się po urwistych płytach spływających w przejrzystą toń. Śniegi dyszą chłodem. Czy naprawdę jest tak zimno, czy trzęsie nami emocja?...

Śmieszne. Toż przecież nie my mamy zdobywać diretissime na Galerii. Jesteśmy o wiele poniżej i dziś w ogóle nie będziemy się wspinać. Ale gdzie oni są, Stolik i Doktor? Zadzierając wysoko głowy, błądzimy oczami po kolosalnych spaszach Galerii, odszukujemy wzrokiem nowy szlak, wykreślony trzy dni temu i urwany tak blisko kresu.

Bystrooki Maciek wskazuje Jurkowi jakieś iluzje, oparte na pionowym żlebkowi i systemie diabła wyślizganych zacięć. Muszę im wierzyć na słowo. Karki nas już boją od tego gapienia się w pion, gdy wtem – Jurek zaczyna coś nabożnie szeptać.

- Są, są... daję słowo... o tam... jeden zjeżdża... O, jak mu się lina kołysze!... Ależ tam przewiecha...

Dlaczego ja nic nie widzę? Komin z nyzą? Gdzie? Ten czarny, czy ten oświetlony?... Każą mi milczeć i nie przeszkadzać. Nie buntuję się i zdaję całkowicie na dwugłos speakerów.

- Ściągają linę – słyszę demoniczny szept nad uchem – Zjechali z tarasu na tę płytę, gdzie ich noc zaskoczyła... Nie będzie więcej jak sześćdziesiąt, może pięćdziesiąt metrów.

- Patrz że! – suflerskim basem wtóruje Maciek – Tam, od tej turniczki w grani przeprowadź linę...

Widzę! Nareszcie widzę!... Dwie szare okruszyny za pochyłym gzymsiku. Oddalają się powoli od siebie. Wątpię, czy lina wydłuży się skośnie w lewo. Kołaczę się nikłe echo. Stolik zabija hak.

- Będzie ściągać Włodek... Nie, idzie dalej... Patrz, jak się rozciąga! Jak gumowy!... Ależ krok!... Dotarł do kominka!...

Mam kark odrętwiały i sztywny. Lecz nie mogę się zmusić do zmiany pozycji. Patrzę zachłannie i dygoczę, jakbym to ja sam był tam wysoko, z 300-metrową pustką pod nogami. Włodek dochodzi do Stolika. Cofa się nieco. Biję hak. Stolik idzie skośnym trawersem

w lewo, chowa się za przewieszkę. Włodek czeka. Długo, strasznie długo to trwa. Chyba ze trzy minuty. Rusza wreszcie. Ginie nagle, jakby go połknęła ta głęboka plama cienia.

Po jakimś czasie dolatuje nas słaby, słabutki głos. Dalekie echo zwycięskiego ryku. Jeszcze chwilę czekamy z biciem serca, czy to nie sygnał alarmu... I odwracamy się, rozpromienieni od Galerii.

- Przeszli! – mówimy chórem i kordialnie klepiemy się po plecach.

Blade refleksy słońca na krawędzi Galerii stały się różowe. Cień zasnuł jezioro. Nie odchodzimy jednak. Chcemy doczekać się zwycięskich „Wątlaków”. Na razie słychać drobne lawinki kamienne. Jakoś dziwnie nisko. I zbyt często. Ach, to Fräulein Doktor z Żółtówłosym Grzesiem wracają ze zdobywczej wyprawy. Ciągnąć za sobą tony piargu i głazów, mniej na nogach, więcej na spodniach – ładuje dzielna taterniczka na ścieżce.

- Zrobiliśmy problem! – obwieszcza.

- Nie?!...

- Pierwsze letnie przejście Przełączki pod Kaczą. Be trudne. Krucho, że coś strasznego. Dostałam kamieniem dwa razy.

- Mało! – zgadzamy się chórem.

Nadciaga i Grześ.

- Stolik zrobił „środek” – raportuje – Patrzyliśmy cały czas z przełączki. Już schodzają, ale powoli.

A, skoro tak... Zresztą czyni się haniebnie zimno. Trzeba wracać, by przenieść biwak do koleby i przygotować jadło dla zdobywców.

Kolosalny żółty księżyc toczy się po grani Pustych Turni pod niebem jasnym od gwiazd, gdy poprzez krwawy dym ogniska ukazują się zmęczone, wygłodniałe oblicza zwycięzców. Porcja uznania...

Czwartego dnia „Czeskiej” zwijamy linę na tarasie Galerii. Hanka zapatrzona w gołyka nawet Młynarza, o niezliczonych wierzchołkach czerwonych od słońca. Maciek grzebie w wydobytej spod głazu puszcze z biletami:

- Klub Wątlach i Wesołych zawział się na Galerię – stwierdzamy z dumą.

Nie tylko „WiW”. Gdy nocą dobijamy do Roztoki, ostatnia partia mieszkańców Czeskiej, Żółtógłowy przybiega z sensacją:

- Wiecie? Z Zakopanego przysła ekspedycja filmowo-topograficzna. Finansuje firma X. Zakopiańcy powiadają, że jeżeli oni nie zrobią przejścia Galerii środkiem – to nie zrobi tego nikt. Jutro idą do szturm. Zobaczcie, jak są zaopatrzeni!...

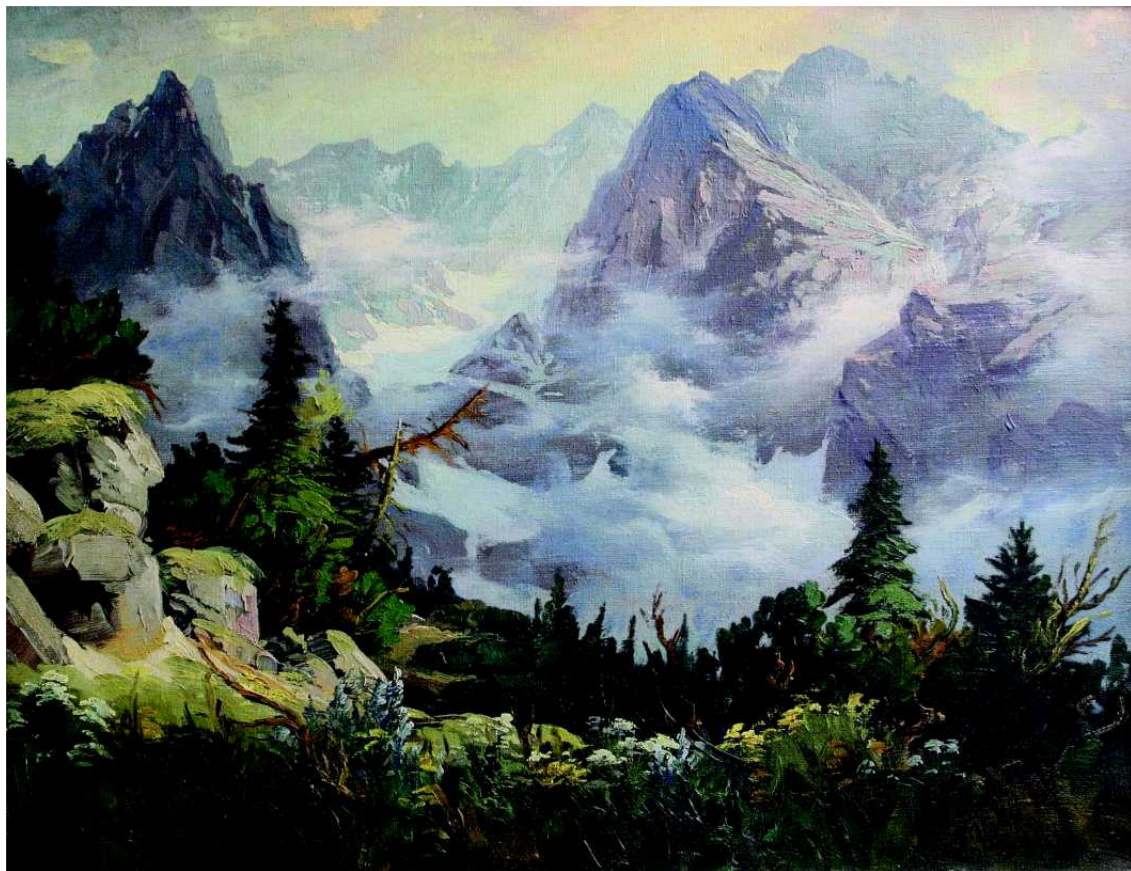
- Widzisz, jakaś ty świnią, Stolik! – orzekamy chórem. Stolik bardzo się wstydzi.

S.D.B.

Powyższe opowiadanie opublikowane zostało w konspiracyjnym zeszycie „Taternika” z 1940 r. Autor opisuje w nim autentyczne wydarzenia towarzyszące zdobyciu przez Włodzimierza Gosławskiego (Włodek, Doktor) i Tadeusza Orłowskiego (Stolik) środkowej połaci północno-zachodniej ściany Galerii Gankowej (30-31 lipca i 3 sierpnia 1939 r.). Konspiracja sprawia, że nie wszystkie pseudonimy daje się rozszyfrować. Z przewodnika WHP można

wywnioskować, że „Żółtogłowi” – to bracia Czesław i Jerzy Mierzejewscy, „Fräulein Doktor” to Halina Drabarkówna, „Żółtowołosy Grześ” to Jerzy Mierzejewski, Czesiek – Czesław Mierzejewski.

Pewne natomiast jest, że pod inicjałami S.D.B. kryje się Sławomir Dunin-Borkowski (1909-1958), warszawski dziennikarz i prozaik. Taternictwo uprawiał od ok. 1932 r., członkiem Klubu Wysokogórskiego został dopiero w czasie okupacji, w 1940 r. Wspinał się m.in. z Janem Staszlem, Stanisławem Motyką, Tadeuszem Orłowskim i Maciejem Zajączkowskim. Pisywał w polskiej prasie podziemnej, często także w tajnie wydawanym „Taterniku”. Działał w AK i walczył w Powstaniu Warszawskim. Po upadku powstania dostał się do niewoli niemieckiej, zaś po wojnie został za granicą. Zmarł w Monachium (red).



Dolina Śnieżna w Tatrach – mal. Jan Mudrak ok. 1940. Obraz pochodzi z kolekcji rodziny Wolskich z Nowego Sącza
Fot. Konrad Kaczmarek

Walny Zjazd Delegatów Polskiego Związku Alpinizmu

Od poprzedniego Walnego Zjazdu minęło 3 lata. Zgodnie ze Statutem PZA uchwalonym 8 marca 1997 roku, Zarząd Związku postanowił zwołać kolejny WZD PZA w dniach 24 i 25 listopada 2007 r. w tym samym miejscu, czyli w Podlesicach. Walny Zjazd zajmie się sprawami nurtującymi nasz środowisko, nakreśli plany na przyszłość i wybierze nowe władze.

Dyskusje na różne tematy związane z alpinizmem i jego pokrewnymi dyscyplinami, odbywają się obecnie raczej na forach internetowych, czasem zamkniętych, jak np. forum szkoleniowe. Nadszedł jednak czas i jest okazja, żeby porozmawiać nawet o najbardziej drażliwych sprawach twarzą w twarz. Miejmy nadzieję, że tym razem obrady w sercu wspinaczkowego poligonu, jakim jest Jura Krakowsko-Częstochowska, będą bardziej owocne, a słowa góry, alpinizm, wspinanie, czy wyprawa, będą częściej padać z trybuny zjazdowej.

Ze względu na częstotliwość ukazywania się, łamy „Taternika” rzadko bywają forum dyskusyjnym. Ożywają dopiero przed zjazdami. Prezentujemy niżej artykuł Wojciecha Świąćickiego, będącym dobrym wstępem do spodziewanych gorących dyskusji zjazdowych na tematy szkoleniowe.

Szkolić, jak to łatwo powiedzieć...

Wojciech Świąćicki

W dynamicznie rozwijającym się świecie zmiany nie omijają też szkolenia wspinaczkowego. Moje osobiste obserwacje obejmują 35 lat, od roku 1972, kiedy po raz pierwszy skończyłem jako pomocnik instruktora, po dzień dzisiejszy, kiedy Komisja Szkolenia PZA powierza mi jeszcze prowadzenie niektórych wykładów na kursie instruktorskim. Wczesne lata siedemdziesiąte były okresem przełomu, bo powoli kończyło się szkolenie koleżeńskie, a rozpoczynała się era instruktorów profesjonalnych.

Warto w kilku słowach scharakteryzować poprzednią epokę, chociażby z tego powodu, że wokół szkolenia koleżeńskiego narosło wiele nieporozumień. Szkolenie odbywało się wówczas poprzez kluby, zwykle w postaci zorganizowanych, wieloosobowych obozów szkoleniowych, z kierownikiem kursu w roli głównej. Kadre instruktorską stanowiły osoby posiadające stopień instruktora bądź taternicy zwyczajni, którzy garnęli się do szkolenia. Co ciekawe, w tamtym czasie (co potwierdzają przeprowadzone przeze mnie wywiady) prowadzono kursy nierzadko bez sprecyzowanych planów szkoleniowych, a dobór dróg i zakres ćwiczeń opierał się na osobistym doświadcze-

niu instruktora i jego indywidualnej inwencji. Na kursie tatrzańskim przechodziło się wówczas zaledwie kilka łatwych dróg i do zaliczenia szkolenia wystarczało uzbieranie 10 godzin przewodnikowych. Kwestia wynagrodzenia za szkolenie była traktowana dość indywidualnie, instruktor najczęściej otrzymywał zwrot poniesionych kosztów przejazdu i utrzymania obliczanych na podstawie tak zwanych diet. Pamiętający czasy PRL wiedzą o co chodzi. Nierzadko jednak wypłacano instruktorom honoraria pochodzące z indywidualnych wpłat uczestników kursu.

Zmiana jakościowa nastąpiła za sprawą Ryszarda Koziola. Kursy instruktorskie zostały poprzedzone egzaminami wstępnymi, ujednolicono programy nie tylko kursów instruktorskich, ale także programy kursów tatrzańskich i kursów skałkowych. W 1973 roku otwarto zaoczne Studium Trenerów Alpinizmu przy krakowskiej AWF. W tym samym roku TPN przekazał ZG Klubu Wysokogórskiego drewniany budynek na Hali Gąsieni-



cowej i w ten sposób powstała Szkoła Taternictwa, która w rok później, po powstaniu Polskiego Związku Alpinizmu, zmieniła nazwę na Centralny Ośrodek Szkolenia PZA. Jej wieloletnim kierownikiem był Zdzisław Jakubowski, szerzej znany jako „Szlachetny”.

Warto też odnotować wydanie w tym czasie kilku zeszytów Informatora Szkoleniowego Instruktorów Taternictwa. Szkolenie taternicze zostało podzielone na następujące po sobie kursy, których ukończenie potwierdzała karta taternika samodzielnego i karta taternika z uprawnieniami zimowymi. Organizacja szkoleń nadal zajmowały się kluby, ale trzeba wyraźnie zaznaczyć, że tylko najbardziej liczące się kluby były w stanie organizować co roku pełny cykl szkoleniowy tj. kurs skałkowy, kurs tatrzański letni i kurs tatrzański zimowy. W tej sytuacji główny ciężar szkolenia tatrzańskiego spoczął na COS PZA, co spowodowało konieczność najpierw walki o przydział puli miejsc dla danego klubu, a potem rywalizacji pomiędzy kursantami o przyjęcie na konkretny turnus. Permanentna przewaga popytu nad podażą osiągnęła swoje apogeum na początku lat 80. co przejawiało się między innymi szkoleniem na dwie zmiany i prowadzeniem tzw. tramwajów tj. instruktor ciągnął za sobą powiązanych w szereg wszystkich kursantów. Ponawiane na kolejnych walnych zjazdach PZA postulaty zmiany kierownika COS PZA przyniosły skutek i w roku 1984 nowym kierownikiem Betlejemki został nieżyjący już od 12 lat Piotr Malinowski. „Maliniak” był wybitnym wspinaczem, uznanym narciarzem i oddanym ratownikiem, nic więc dziwnego, że wniósł do Betlejemki ducha profesjonalizmu. COS odzyskał swoją pozycję wiodącego ośrodka szkoleniowego. W trzy lata później Piotrek został naczelnikiem Grupy Tatrzańskiej GOPR, a rozpisany konkurs wyłonił nowego kierownika COS PZA. Został nim Bogumił Słama „Bobas”, który związany jest z Betlejemką po dzień dzisiejszy. Działająca w tamtych latach Komisja Szkolenia PZA prześcigała się w inwencji. W ciągu 3 lat zorganizowano 5 kursów instruktorskich i 5 kursów unifikacyjnych, utworzono Biuro Instruktorów z siedzibą w Betlejemce, prowadzonym kursom w skałkach i w Tatrach przyglądali się obserwatorzy ds. bezpieczeństwa, a po sezonie organizowano spotkania klubowych szefów szkolenia w celu omówienia spraw bieżących.

Betlejemka pracowała pełną parą. W la-

tach 1987-1989 przeszkolono rekordową ilość 287 osób na kursach letnich i 125 osób na kursach zimowych. Jednocześnie trwały intensywne prace nad modernizacją systemu szkolenia instruktorów. Instruktorzy zaczęli wyjeżdżać na staże szkoleniowe, najpierw do ÉNSA w Chamonix, a później także do brytyjskiego narodowego ośrodka Plas y Brenin w północnej Walii, co zaowocowało wprowadzeniem szeregu nowych rozwiązań szkoleniowych – nazywanych cokolwiek złośliwie – ruchem lewostronnym. Ogromne zasługi na polu teorii nauczania wspinaczki położył Wacław Sonelski „Wacio”, autor pierwszego rodzimego, nowoczesnego podręcznika wspinaczki. Przełomowa okazała się kadencja 1989-1992. Powstały programy kursów instruktorskich nowego typu, uwzględniono nowe trendy w nauczaniu wspinaczki, m.in. po raz pierwszy przeprowadzony został kurs instruktorów wspinaczki skalnej. W ciągu 3 lat ponad 50 osób ukończyło kursy instruktorskie, uzyskując stopień instruktora lub podwyższając swoje kwalifikacje szkoleniowe.

Przyczyną tak masowego szkolenia instruktorów były rosnące wymagania techniczne i dydaktyczne oraz diametralna zmiana w podejściu do relacji instruktor – kursant. Jedną z przyczyn było powstanie prywatnych szkół wspinaczkowych, a co za tym idzie, brak nadzoru klubów nad szkoleniem, do czego wszyscy byliśmy przyzwyczajeni. Całkiem na marginesie można dodać, że kursy instruktorskie były w całości finansowane ze środków Komisji Szkolenia PZA, a uczestnicy ponosili wyłącznie koszty zakwaterowania, co z dzisiejszej perspektywy może wydawać się szokujące. W Betlejemce padł kolejny rekord frekwencji, w ciągu 3 lat na letnich kursach taternickich przeszkolono 355 osób, czyli grubo ponad 100 osób rocznie! Jedną z przyczyn wielkiego zainteresowania szkoleniem w COS PZA, poza oczywistym boorem na taternictwo, była możliwość wspinania się z instruktorami o wielkich nazwiskach.

Kolejna kadencja 1992-1995 przyniosła weryfikację instruktorów i wprowadzenie nowych stopni instruktorskich. Polski Związek Alpinizmu zrzeszał imponującą ilość 175 instruktorów, w tym 64 instruktorów alpinizmu, 50 instruktorów taternictwa, 26 instruktorów wspinaczki skalnej i 35 instruktorów seniorów. Można powiedzieć, że zbliżyliśmy się do standardów europejskich. Na kur-

sy instruktorskie dostać się było nie łatwo, a jeszcze trudniej było je ukończyć. Wszyscy pracujący w terenie wysokogórskim byli wyposażeni w nowoczesne środki łączności – wielkie zasługi na tym polu położył Bogdan Janowski, a ponadto rozpoczęto osadzanie stałych punktów asekuracyjnych na drogach szkoleniowych. Trzeba też powiedzieć o coraz lepszym wyszkoleniu kursantów. W czasie turnusu przechodzono 30-40 godzin przewodnikowych, wspinano się z kursantami nocą, ćwiczone hakówkę, organizowano wypady na Słowację z biwakowaniem w kolebach etc. Polską specjalnością stało się uczenie wspinaczkowej samodzielności, nauczanie nowoczesnej taktyki i skutecznego autoratownictwa. Potwierdzają to nie tylko statystyki TOPR, ale i annały UIAA.

Kadencja Komisji Szkolenia PZA w latach 1995-1998, ostatnia, której przewodniczyłem, też przyniosła kilka nowych rozwiązań. Zorganizowano kursy dla asekuratorów pracujących podczas zawodów wspinaczkowych, zorganizowano pierwszy kurs ekipów oraz utworzono zespół ds. spitowania, zaczęły ukazywać się zeszyty szkoleniowe, z których „Topografia i terenoznawstwo” okazała się bestsellerem wydawniczym. Zorganizowano dwa kursy instruktorów wspinaczki skalnej i dwa kursy instruktorów taternictwa. W znacznym stopniu rozbudowano egzaminy praktyczne, w tym między innymi o nocne biegi terenowe i emocjonujące egzaminy z ratownictwa. Udoskonalono i rozbudowano system stażów po kursach instruktorskich oraz wprowadzono obowiązek szkoleń narciarskich dla instruktorów alpinizmu. Nie zaniebrywano też stażów zagranicznych, co spowodowało, że w okresie 1986-1998 uczestniczyło w nich łącznie 30 osób. Na koniec kadencji stan osobowy instruktorów PZA liczył 203 osoby. Niestety, zmniejszyła się liczba kursantów w COS PZA, zwłaszcza na kursach zimowych. Jedną z przyczyn była konkurencja ze strony szkół prywatnych, drugą zmniejszenie zainteresowania Tatrami na rzecz uprawiania wspinaczki skałkowej. Okazało się, że jest to początek trendu, którego liczne skutki można zaobserwować także i dzisiaj.

W kolejnych kadencjach Komisji Szkolenia PZA przewodniczyli Rafał Kardaś i Dariusz Porada. Ostatnie lata przyniosły kilka istotnych wydarzeń. Najważniejszym bez wątpienia było przeprowadzenia od dawna oczeki-

wanych kursów instruktorskich na stopnie państwowe. Obecnie PZA zrzesza 63 instruktorów wspinaczki wysokogórskiej i 44 instruktorów wspinaczki sportowej. Pozytywnym zjawiskiem jest także zorganizowanie kursu doskonalącego dla kolejnych kilkunastu absolwentów kursu IWS, aby po egzaminach mogli dołączyć do grona instruktorów PZA. Nowością było zorganizowanie kursów lawinowych oraz kursów zimowej turystyki wysokogórskiej. Formuły te zostały szybko i chętnie podjęte także przez szkoły prywatne. Opracowano także kilka wartościowych materiałów dydaktycznych w postaci elektronicznej. Największą „ogładalność” ma płyta CD autorstwa Marka Pokszana i Tomasza Klisia (znanego także z licznych tłumaczeń podręczników dotyczących wspinaczki)

Po stronie negatywów należy odnotować dramatyczny spadek ilości kursantów szkolenych przez Betlejemkę. Wśród przyczyn trzeba wymienić nie tylko ekspansję szkolenia prywatnego, ale też nie zawsze konstruktywne spory wewnątrz samego środowiska instruktorskiego, zaniedbania marketingowe oraz widoczny impas w budowaniu wizerunku instruktora PZA. Trzeba też wyraźnie stwierdzić, że przetaczająca się przez prasę środowiskową i fora internetowe dyskusja na temat instruktorów PZA, przynosi więcej szkody niż pożytku. Debata nierzadko przybiera formę pyskówki, opierającej się bardziej na emocjach i stereotypach, niż na znajomości rzeczy u osób zabierających głos – często w dobrej wierze, ale często też bez szlachetnych intencji.

Dziś, w przededniu kolejnego Walnego Zjazdu Delegatów PZA należy życzyć przyszłej Komisji Szkolenia PZA determinacji w nieustającym podnoszeniu kwalifikacji i egzekwowaniu sprawności naszych instruktorów, oraz podnoszeniu rangi noszonej przez nas odznaki INSTRUKTOR PZA. Priorytetem musi być odzyskanie przez COS PZA Betlejemka rangi wiodącego ośrodka dydaktycznego!

Autor był przewodniczącym Komisji Szkolenia PZA w latach 1986-1998

Dane liczbowe pochodzą z oficjalnych sprawozdań Zarządu PZA przedkładanych na kolejnych Walnych Zjazdach Delegatów PZA.

Lato w Tatrach Polskich AD 2007

Garść niezobowiązujących impresji

Artur Paszczak

Działalność letnia w Tatrach Polskich od wielu lat oznacza właściwie działalność w Moku. A tu z kolei, dzieli się ona od pewnego czasu na dwa wyraźne nurty – wspinaczki sportowe na Mnichu śrubujące poziom trudności aż do X stopnia, i wspinaczki – nazwijmy to – tradycyjne, ze szczególnym uwzględnieniem roli naszej Kazalnicy.

I tak, jeśli chodzi o Mnicha, rzuciła się w oczy ogromna ilość wspinających się zespołów – niewątpliwy efekt prac akcji „Tatry bez młotka”, a także pozostała działalność w ramach TBM, która zaowocowała czterema nowymi drogami otwartymi w stylu sportowym (acz do asekuracji potrzebne są kostki), oraz jedną poprowadzoną tradycyjnie.

Są to:

1. *Aleja Potępienia*, IX+, otwarta 24 czerwca przez Andrzeja Marcisza i Piotra Korczaka (Droga dedykowana jest „honorowemu alpinście” Bronisławowi Wildsteinowi, za to, że pozostał wierny ideałom swego zamordowanego przez SB przyjaciela St. Pyjasa)
2. *Folwark Montano* VIII, 14 lipca, , Piotr Korczak, Andrzej Marcisz i Artur Paszczak
3. *Rokokowa Kokota*, IX+, 15 sierpnia, Piotr Korczak i Andrzej Marcisz i Tomasz Opozda (jedna z najtrudniejszych propozycji na ścianie)
4. *Floreclistka z Hotelu Adalbert*, VIII-, 15 sierpnia, Marcin Chrzanowski, Piotr Korczak, Andrzej Marcisz, Tomasz Opozda, Dariusz Zadarnowski
5. *Nos Mnicha*, ok. IX – pierwsze przejście 26 lipca, Andrzej Marcisz i Tomasz Opozda, asekuracja własna.

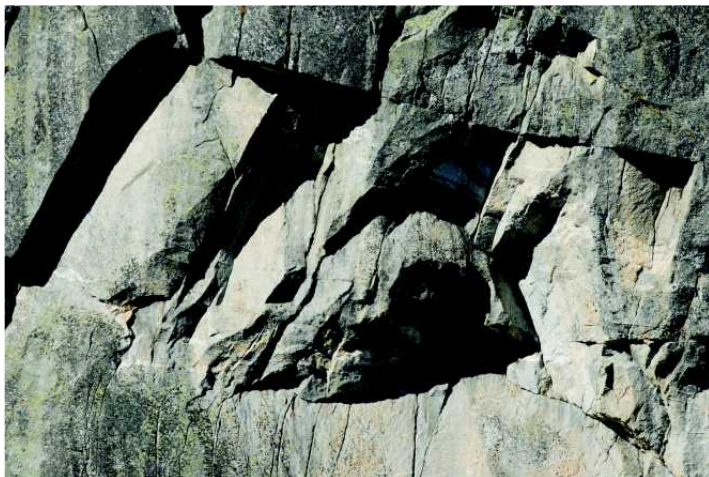
Na początku lipca Piotr Korczak i Darek Zadarnowski wytyczyli też linię *Lewych Kombinacji* – ładnie łączącą łatwiejszą część *Luftwaffe* z nieco zapomnianą, acz niesłusznie, drogą braci Głazków *Całkiem na Lewo*.

Wśród powtórzeń najbardziej zauważalna była oczywiście działalność „grupy podha-

łańskiej” – czyli Marcina Gąsienicy-Kotelniczego i Michała Króla. Najpierw 17 czerwca powtórzyli *Sadusia* IX, potem, 1 lipca, dokonali szóstego przejścia *Metaliki* IX+, aby tydzień później pokonać oryginalnie *Wariant R*, IX+. Wszystkie przejścia padły stylem RP i trzeba przyznać, że tworzą imponujący zestaw. Jakby tego było mało, Marcin dokonał jeszcze drugiego przejścia *Rokokowej Kokoty* (z Mirkiem Woźniakiem) bardzo wysoko oceniając urodę drogi.

W kategorii ciekawych powtórzeń interesujące jest też przejście 2 sierpnia słynnej 2+1 VIII, przez Andrzeja Marcisza i Michała Brożynę, a także pierwsze powtórzenie biegnącej klasową rysą *Luftwaffe* VIII+ (Jerzy Gurba, Jacek Jurkowski, RP) oraz dwóch przejść *American Beauty* VIII+. W kategorii „żywców” na listę pogromców *Międzyimiastowej* wpisał się Jakub Rozbicki z czasem 12 min – było to szóste już takie przejście tej drogi, i nikt nie domaga się więcej. Nie po to wbijamy te spity żebyście bez asekuracji chodzili...

Z kolei na Kazalnicy najważniejszym wydarzeniem było oczywiście odhaczenie *Wish You Were Here*, zimowego ekstrema, dokonane w pierwszych dniach sierpnia przez dwóch starych, tatrzańskich wyjadaczy: Jacka Zaczekowskiego i Jacka Kantykę. Prace



Pas okapów na wschodniej ścianie Mnicha. Od lewej: zacięcie *American Beauty*, dr. *Sadusia*, *Wariant R* i *Hell's Bell's* na *Misterium Nieprawości*.

Fot. A. Marcisz

przy czyszczeniu, szczególnie dolnej części, trwały wiele dni. Dało się słyszeć wywołujące obawy odgłosy osadzania spitów... A jednak Jackowie zdołali zachować klasę drogi narzucając sobie ostre wymogi stylowe. Spitów osadzili tylko na sześciu stanowiskach, bo przeszli drogę siedmioma wyciągami. Maksymalne trudności osiągnęły VIII+ przy ryzykownej asekuracji, a Jackowie polecają raczej górną część drogi, jako że dolna jest jednak krucha i zarośnięta. Nie sędzę, aby droga kiedykolwiek stała się popularna latem (bo to i duże trudności, i słaba asekuracja, a i trochę kruszyny), jednak jej odhaczenie, i to w dobrym stylu, należy ocenić bardzo wysoko.

Pomimo nienajlepszej pogody Kazalnica zanotowała sporo ruchu. Świetnym zestawem może poszczycić się Robert Grzanka, który skompletował z różnymi partnerami „wielki tryptyk” w postaci *Epitafium*, *Pajaków* i *Symfonii Klasycznej*. Trzeba przyznać, że niewiele osób (ja doliczyłem się zaledwie 2-3) może pochwalić się takim osiągnięciem w jednym sezonie. Szczególnie przejście rzadko odwiedzanych *Pajaków* (z Mirkiem Koprówskim) warte jest osobnego odnotowania.

Z kolei Paweł Kopta i Monika Niedbalska powtórzyli jedną z najdłuższych wymagających wspinaczek skalnych w Tatrach Pol-

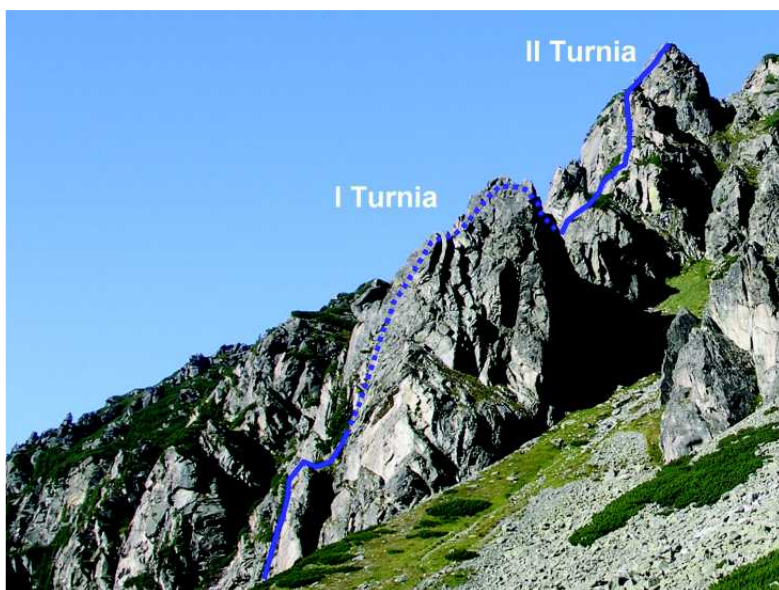
skich – *Zaczadzony Umysł*.

Takie drogi jak *Epitafium*, *Kant Filara* i *Symfonia* miały w tym sezonie po kilka przejść, co świadczy o tym, że jednak nie wszyscy koncentrują się na wyśrubowanych technicznie, lecz obiektywnie bezpiecznych drogach na Mnichu. To bardzo dobry znak, który pokazuje, że nawet w małych Tatrach jest miejsce na realizację różnych ideologii i stylów wspinaczkowych. Liczne przejścia klasyków Zerwy – *Wariantów*, *Schodów* czy *Malczykówki* zdają się tę prawidłowość potwierdzać.

Spośród przejść spoza Kazalnicy wyróżnia się pokonanie jednego dnia dwóch trudnych dróg sportowych na Czołówce MSW (*Preludium VIII RP* i *Porfawora VIII OS*) przez wspomnianych już Jacka Jurkowskiego i Jerzego Gurbę.

Gdybym miał się wyteńczyć na jakieś słowo podsumowania, to powiedziałbym po prostu: sezon jak wiele innych, bez fajerwerków, ale i bez jakiegś zapaści. Dobrze, że wspina się sporo ludzi i dobrze, że każdy może znaleźć coś dla siebie. Na kartach historii taternictwa zapisze się z tego lata chyba tylko przejście Wish’a, a inne – pozostaną po prostu częścią, tak nam wszystkim bliskiej, tatrzańskiej codzienności.

Nowe drogi w Tatrach



Skrajne Solisko - lewe żebro wschodniego filara (z Doliny Młynickiej) (Linia kropkowana pokazuje przebieg drogi po stronie niewidocznej na zdjęciu).

I Turnia: Marek Pronobis, 27.07.2007, trudności IV A1, 3 godz. (opis Taternik 2/2007 s. 11);

II Turnia: Marek Pronobis, 23.09.2007, trudności IV A0, 3 godz. (4 wyciągi spiętrzenia II Turni, od wierzchołka I Turni do początku spiętrzenia II Turni - 2 wyciągi I - II).

Całość drogi **Projekt 60:** trudności IV A1, 6 godz., ok. 250 m różnicy wysokości.

Alpinus Nanga Parbat –K2 Expedition

Piotr Morawski

Najpierw na Nangę

Po zakończonym Tryptyku Himalajskim zacząłem myśleć, gdzie by tu pojechać na własną rękę. W jednym szybko zgadzałem się z Peterem Hamorem, że warto by było spróbować sił na czymś, co jeszcze nie zostało zrobione... i tak powstał pomysł zachodniej ściany K2. Na festiwalu w Krakowie dołączył do nas Dodo Kopold – podstawowy skład już mieliśmy.

Pozostał problem aklimatyzacji. Po głowie chodziła nam Nanga Parbat i Rakaposhi. Jednak Piotr Pustelnik, zupełnie słusznie, wybił nam to z głowy: nie da się połączyć dwóch wielkich projektów i zrobić tego szybko. Odrzuciliśmy jedną górę i została Nanga Parbat. Zabrałem się do organizowania wyprawy. Na Nangę chcieliśmy wejść drogą Kinshofera na ścianie Diamir (obecnie droga normalna). Chcieliśmy działać w naszym trzyosobowym zespole, ale na Nangę można było rozbudować skład. W Polsce chęć udziału zgłosiła Kinga Baranowska (Alpinus Expedition Team), a jej partnerem został Roberto Rojo zwany Gorim. Na Słowacji – Martin Gablik ze swoimi towarzyszami, Antonem Suchym i Rudolfem Bosjakiem. Głównym sponsorem została firma Alpinus, a dopomogło wiele innych firm, w tym Lion, Grivel, Duncon, Energizer, Nikon, Julbo.

W Islamabadzie ładujemy 21.06.2007. Zaledwie 5 dni później jesteśmy już w bazie. Oprócz nas są jeszcze 2 wyprawy chilijskie

(razem 14 osób), dwuosobowa wyprawa francuska i ośmioosobowa wyprawa białoruska. Jeszcze przed końcem miesiąca, „z marszu”, zakładamy obóz I, (co nie było trudne, bo to tylko kamieniste podejście) na wysokości ok. 4800 m. Następnie ruszamy w górę i składamy depozyt pod głównymi trudnościami drogi, czyli na ok 5700 m. Na dojście do obozu II brakuje nam siły i aklimatyzacji.

Po odpoczynku w bazie, już 2 lipca osiągamy obóz II, na wysokości około 6100 m. Tutaj kończy się dotychczasowa działalność Chilijczyków. Powyżej – ziemia nieznana. Dwa dni później, razem z Peterem i Dodem ruszamy do góry. Przyjemny śnieg kończy się gdzieś na wysokości 6500 m. Wyżej zaczyna się żmudne torowanie. Zmęczeni osiągamy malowniczą przełęcz, gdzie kładziemy nasz namiot i nazywamy to obozem III. Jest wysokość około 6800. Jeden dzień przeznaczamy sobie na odpoczynek. Po kolejnym odpoczynku, dnia 6 lipca decydujemy się na atak. Wiem, nie jesteśmy dobrze zaaklimatyzowani, ale liczymy na łut szczęścia. Niestety, śnieg w wyższych partiach jest nieprzyjemnie głęboki. Nasz impet zostaje powstrzymany na wysokości 7500 m, w szczytowych partiach góry. Nie ma co się pchać dalej, nie mamy tyle siły, by przekopać się przez zaspę.

Decydujemy się na odwrót. W bazie dostajemy relację, że pogoda kiepska, ale może w piątek 13-go (!) będzie trochę lepsza. Wyruszamy do góry. O dziwo nasze ślady są i trochę nam pomagają, tak że 12 lipca zakładamy obóz IV na wysokości 7150 m. Właściwie z tym zakładaniem obozów to trochę przesada, bo powyżej jedynki poruszamy się z jednym namiotem, który przenosimy z miejsca na miejsce. Mamy czwórkę i są resztki naszych śladów, ale... nagle



W drodze do obozu III na Nanga Parbat.

Fot. P. Morawski



Zachodnia ściana K2. W środku monolit oblegany przez Rosjan, po lewej nasz planowany kuluar.
Fot. P. Morawski

Alpinus K2 West Face Expedition

Zaledwie 4 dni po wejściu na Nanga Parbat jesteśmy gotowi do dalszej drogi. Tym razem wyłącznie w składzie podstawowym: Peter Hamor, Dodo Kopold i ja. 19 lipca z samego rana nasza trójka rusza do Chilas. Dzień później siedzimy już w Skardu i analizujemy zdjęcia naszego kolejnego celu: wytyczenia nowej drogi na zachodniej ścianie K2. Wracają powoli wyprawy z lodowca Baltoro,

nie ma pogody. Jesteśmy zmuszeni w silnym wietrze czekać kolejne dni, aż do wypogodzenia się. 15 lipca wydaje nam się, że nadszedł ten dzień. W nocy jednak przychodzi wichura. Kiedy cichnie, wyruszamy do góry. Śnieg nie daje za wygraną ani przez chwilę. Torujemy mozolnie krok za krokiem. Ale tym razem my też nie dajemy za wygraną. Spod naszych nóg uciekają dwie lawiny, które niemal stracają nas na dół. W silnym wietrze, w głębokim śniegu docieramy do wierzchołka. Na samym szczycie jest godzina 13:38. I taki mróz, że aparat zamara mi w dłoni. Nawet nie da się zrobić zdjęć. Po kilku minutach spędzonych przy szabli białej na szczycie, zaczynamy schodzenie. Po południu docieramy bezpiecznie do naszego namiotu. Droga na szczyt dla następnych ekip zostaje otwarta!

Dwa dni później przychodzi piękna pogoda. Rozpoczyna się chilijski wyścig do wierzchołka. Wraz z Chilijczykami zdąża reszta naszej wyprawy. Pierwszy Chilijczyk staje na szczycie przed siódmą. Kinga z Gorim po dziewiętej, a kilka minut po południu Martin z Antonem. Na wierzchołku staje aż 9 osób, w tym czwórka od nas! Wszyscy szczęśliwie wracają na dół. Jedynie Rudo został wyłączony z akcji ze względu na chorobę. W trakcie oowych wejść dokonuje się także pierwsze wejście chilijskie.

Czegoż mógłbym sobie życzyć więcej jako kierownik pierwszej swojej wyprawy w życiu? Chyba tylko tego, by wszyscy znaleźli się na wierzchołku. Ale nie bądźmy zachłani...

ro, spod K2, Broad Peak i Gasherbrumów. Wszyscy są zgodni co do jednego – w tym roku pogoda jest paskudna; cały czas sypie śnieg, wieją niespodziewanie silne wiatry i czasem ciężko wytrzymać nawet w bazie. Szczerze mówiąc mieliśmy nadzieję, że w sierpniu się poprawi, bo przecież nie może cały czas sypać...

Po dwóch dniach wypoczynku po Nandzie ruszamy do góry. 28 lipca zakładamy swoją bazę pod południową ścianą K2, na wysokości 4950 m. Wita nas sypiący śnieg. Niezrażeni idziemy 31 lipca założyć bazę wysuniętą pod zachodnią ścianą – naszym głównym celem. Droga przez lodowiec Savonia okazuje się całkiem przyjemna. Mimo ogromnych szczelin już po 4 godzinach stoimy pod ścianą i patrzymy na nasz wymarzony kuluar. Wnosimy ze sobą po niecałe 20 kg sprzętu i jedzenia. Ściana zachodnia odsłania się nam na pół godziny, tak że możemy zrobić kilka zdjęć, po czym kryje się za chmurami. Stoją też dwa namioty rosyjskie: potężna rosyjska wyprawa oblega zachodnią ścianę już od końca maja – na szczęście ich celem jest inna droga.

Dzień później wracamy do bazy po resztę rzeczy, niestety pogoda staje się coraz gorsza. Czas w bazie zaczyna się dłużyć. Monsun z Bangladeszu stanął gdzieś w okolicy i nie chciał się ruszyć. Co oznaczało, że nikt nie może przewidzieć czy pogoda się poprawi, czy pogorszy, dopóki monsun nie przemieści się gdziekolwiek. Codziennie rano wita nas deszcz albo śnieg. Pierwszy tydzień jeszcze jakoś siedzimy spokojnie, ale potem



Obóz III na drodze Česena na K2, w dole widać rozcejsie lodowców Golden-Austen i Savoia oraz miejsce bazy. Fot. P. Morawski

zaczynamy się niepokoić. K2 nie widzimy prawie w ogóle, zawsze skryte za chmurami. Kiedy się odsłania, jest całkowicie białe, a jego ścianami schodzą wielkie lawiny. Wszystkie wyprawy siedzą w bazie i czekają. My też mamy czas i czekamy.

W kolejnym tygodniu powoli dociera do nas prawda – możemy nie mieć szansy by nawet dotknąć K2. Aż pewnego dnia przychodzi do nas David, Fabrizio i Gerlinde. Proponują, byśmy razem z nimi ruszyli non stop w kierunku szczytu. Tylko, że południową ścianą – drogą Česena. Bez namiotów i spiworów. Ma się pojawić dwudniowe okno. Taki spontaniczny atak ma szansę powodzenia. Startowaloby 7 silnych osób, które mogłyby zmieniać się podczas torowania w głębokim śniegu. Mamy do wyboru leżeć cały czas w bazie, albo spróbować szczęścia.

Problem jest tylko w tym, że mamy cały sprzęt pod ścianą zachodnią. 9 sierpnia idziemy zwinąć naszą bazę wysuniętą. 10 sierpnia o godzinie 2 w nocy wyruszamy z bazy głównej na drogę Česena. W plecakach mamy ciepłe ubranie, picie, trochę jedzenia. Zespół okazuje się naprawdę silny, więc idziemy w równym tempie. O godzinie 8 rano, po 6 godzinach podchodzenia osiągamy wysokość 6400 m, czyli miejsce obozu drugiego. Tutaj wycoczywamy 2 godziny i ruszamy dalej. Przed 15-tą jesteśmy na wysokości 7100 m, w miejscu obozu trzeciego. Niestety, pogoda zaczyna się psuć. Przychodzi mgła i lekki śnieg. Wieczorem ruszamy mimo kiepskiej pogody do góry i o 2 w nocy jesteśmy na wysokości 7750

m w okolicach Ramienia K2. To tutaj droga Česena schodzi się z Żebrem Abruzzi. Niestety zmęczenie daje się powoli we znaki. Nasza trójka ma za sobą 3 bardzo krótkie noce i zwiniecie bazy wysuniętej. Mimo to o 6 rano ruszamy w kierunku szczytu. Razem z nami Gerlinde i David – pozostała dwójka się wycofała. Niestety, na wysokości około 8000 m śnieg okazuje się głęboki, pogoda psuje się dalej i dopada nas zmęczenie. Cała piątka podejmuje decyzję o ostatecznym odwołaniu...

Tego samego dnia, po 42 godzinach od startu, jesteśmy z powrotem w bazie. Kolejny krok w moim górskim doświadczeniu. Bardzo ważny. Przekonaliśmy się jak pracują nasze organizmy podczas długotrwałego wysiłku.

Czekamy w bazie jeszcze kolejny tydzień. Aż 17 sierpnia dostajemy prognozę pogody, stwierdzającą, że do końca miesiąca nadal będzie sypać śnieg. Z ciężkim sercem podejmujemy decyzję o zakończeniu wyprawy. Z jednej strony żal nam jest zachodniej ściany, która nie dała nam w tym roku najmniejszej szansy. Z drugiej jesteśmy zadowoleni z naszego szybkiego wejścia na 8000 m drogą Česena. Przede wszystkim okazało się, że nasz zespół jest bardzo zgrany i mam nadzieję, że przed nami sporo wspólnych wyznań.

Jedno jest pewne. Niedługo chcemy wrócić na zachodnią ścianę K2. Bo tegoroczne wejście tylko zaostrzyło nasze apetyty. W przyszłym roku pewnie się nie uda, ale może za dwa lata...

www.piotrmorawski.com



Na Ramieniu K2 (ok. 8000 m). Z tyłu po lewej GIV i Broad Peak, po prawej Chogolisa i K6. Fot. P. Morawski

Zdobycie Honbora Peak

Tekst i zdjęcia: Łukasz Depta

Początek tegorocznej wakacyjnej wyprawy w rejon Honbora w centralnym Karakorum. Alarm bombowy na Okęciu, długie godziny upalnego słońca na parkingu, wreszcie chaotyczny napór tłumu. Wstęga Wisły między układanką kolorowych pól i lasów, lot przez Helsinki do Delhi. Wyjście z lotniska w stolicy Indii niczym w atmosferę przepelnionego basenu, potem podróż na granicy jawy i snu. O północy 35 stopni ciepła, taksówka z ołtarzykiem Shivy w szaleńczym nocnym ruchu, na dworcu śpiący na posadzce ludzie. Ciągące się kilometrami cuchnące slumsy i nieskończone mgliste pola ryżu za oknami pociągu do Amritsaru. Na granicy pakistańskiej, tuż przed zamknięciem, popołudniowy obezwładniający upał i ciekący po naszych twarzach pot. Niesamowity komfort klimatyzowanego autobusu do Islamabadu a potem po zakupie ręczniczków do ocierania twarzy przez ponad 20 godzin w busie na Karakorum Highway. Wielka Nanga Parbat o wschodzie słońca, burzliwe szare wody Indusu. Szaleństwo zakupów w Skardu, miejsce wielkich wypraw, zielona dolina Thalle. Wreszcie na końcu szachownicy uprawnych poletek i drogi jezdnej, ponad małą wioską Thalle Brok, kamienista przegroda starej moreny lodowca. Za nią królestwo gór centralnego Karakorum.

Dzięki uprzejmości poznanego w drodze Pakistańskiego nauczyciela, w jednej z chat

dostajemy do użytku niewielkie pomieszczenie. Wysokość 3700 m, rzut beretem wyloty kilku interesujących dolin, w tym oczywiście tej doprowadzającej pod nasz główny cel Honbora Peak, doskonała baza wypadowa.

Z obawy przed myszami wszystkie nasze zapasy wieszamy pod sufitem. Nie tracąc wakacyjnego czasu, następnego dnia ruszamy w góry. Wznosząca się na niespełna 5000 m pobliska przełęcz Thalle La jest odpowiednim celem na wstępną aklimatyzację. Pogoda na razie niezbyt kryształowa, góry skryte w deszczowej mgiełce. Mroźne orzeźwienie przy przekraczaniu dwóch lodowcowych strumieni, potem wędrówka wzdłuż pasterskich chat i pasących się na halach zwierzaków. Nocleg wypada na widokowej łące, o pogodnym już zmierzchu pokazuje nam się po raz pierwszy trapezowata sylwetka Honbora Peak (6454 m). Ten najwyższy szczyt grupy, według Jerzego Wali, który go nam podsunął, nie posiada jeszcze wejścia. Niezła bielucha, żartuje, ale po ilości skały do pokonania w okolicach 6000 m widać, że na pewno łatwo nie będzie. Nazajutrz osiągniemy przełęcz, na jej siodle krowie placki, żadnych ciekawszych widoków. Dla lepszej aklimatyzacji fatygujemy się jeszcze 300m wyżej na szczyt w postaci usypiska kolorowych kamieni. Stąd panorama jest już dużo szersza, widać cały rejon. Mur skalno lodowych piramid, z których może tylko kilka jest zdobytą. Na pewno jest w czym wybierać. Zbieganie w adidasach po gruzowisku.

Moczenie bielizny podczas przekraczania popołudniowo wezbranego strumienia i nasza sielankowa baza.

Na następną wycieczkę wybieramy się już w skorupach. Tym razem na upatrzone sześciotysięczny szczyt w kotle lodowca Thalle. Na otrzymanej od Jerzego Wali graniówce rejonu ta okolica to już biała plama, więc gdy zapuszczamy się w głąb czujemy się jak prawdziwi eksploratorzy. Kruchy próg lodowca i wędrówka w labiryncie szczelin zajmuje nam czas do popołudnia. Namiot rozkładamy na wysokości około 5200 m, już zupełnie blisko pod-



Dolina lodowca Thalle. Mirkasia Peak w głębi (pod chmurą)



Na grani Mirkasia Peak

stawy kuluaru wyprowadzającego na przełęcz. Wokoło groźne skalno-śnieżne turnie, znad płonącej czerwieni zachodu pięknej piramidy, którą nazwaliśmy szczytem tatrzańskim, wschodzi wielki księżyc.

Wyruszamy o świcie, pogoda piękna, ależ będą widoki! Kuluar okazuje się łatwy, więc szybko osiągamy przełęcz. Do szczytu jeszcze na oko 400 m deniwelacji. Najpierw stroma śnieżna grań, potem – z tego miejsca jeszcze zagadkowa – skalna kopuła szczytowa. Po dobrze zmrożonym śniegu bez asekuracji dochodzimy pod pierwszy uskoki. Ponad lodowo skalnymi graniami, gdzieś na horyzoncie pojawia się potężna sylweta Nanga Parbat. Mikstowy kominek, potem jakieś bardzo strome pola lodowe, gdzie asekurujemy się już na sztywno. Po trzech wyciągach w miejscami kruchym 60 stopniowym lodzie, koło południa stajemy na wierzchołku. Wysokość jakieś 5800 – 6000 m, jest 30 lipca, nad nami błękit nieba, wokoło morze szczytów. Zdecydowanie wybijająca się ponad graniami skalna piramida K2, dużo bliżej rozłożysta sylweta potężnego Masherbruma. Zupełnie niedaleko pojawia się też Honboro. Z tej perspektywy północna grań nie wygląda zbyt trudno, zobaczymy jak będzie z bliska.

Zdjęcie z papierową białą-czerwoną flagą. Żadnych śladów bytności ludzi w tym miejscu, wygląda na to że jesteśmy pierwszymi zdobywcami. Słońce powoli wchodzi na drogę naszego wejścia, zaraz robi się nieprzyjemnie miękko, więc nie tracąc czasu zakładamy pierwszy zjazd i opuszczamy się w dół. Cały czas z asekuracją, późnym popołudniem docieramy na przełęcz. Szybki zbieg w dół, w namiot

cie niesamowity smak barszczu czerwonego instant. Na następny dzień labirynt lodowca Thalle jeszcze raz przepuszcza nas bezkarnie. Po drodze w dół tłusta, pachnąca dymem herbatka u pastyrzy i potem trzy dni zasłużonego odpoczynku w zielonej dolinie. Jako pierwsi zdobywcy nadajemy wierzchołkowi nazwę Mirkasia Peak.

Po dwóch wycieczkach czujemy się już wystarczająco zaaklimatyzowani, żeby zmierzyć się z naszym głównym celem. Obładowani żywnością na tydzień oraz peł-

nym arsenałem sprzętu, wolno wznosimy się w głąb wąskiej doliny Bukma. Wkrótce pojawia się Honboro, z tej strony imponująca piramida. Na tle ciemnogrnatowych chmur wygląda całkiem złowrogo. Po prawej stronie południowa skalista grań – nie wygląda to łatwo. Z kolei dostępu do północnej flanki, po lewej, broni potężna mikstowa ściana wysokości na oko 800 m. To będzie na pewno klucz do tej góry. Tuż przed moreną lodowca rozbijamy biwak. Czysty potoczek tuż obok, ognisko z suchych patyków, sielankowa atmosfera.

Nazajutrz po typowej górskiej atrakcji moczenia bielizny podczas przekraczania rwącego potoku, wkraczymy na pokryty kamienym płaszczem lodowiec. Szeleszcząc po płaskich łupkach stopniowo zbliżamy się do lodospadu przedzielającego dolinę Bukmy. Po prawej rośnie w oczach północna ściana Honboro. To około 1500 m prawie pionowych granitowych płyt, pokrytych cienkimi polewami lodu. Obok ściana opadająca z przełęczy, nieco mniej stroma, bardziej odpowiednia droga dla próby pierwszego wejścia na szczyt. Namiot rozbijamy na wysokości 4800 m, to już rzut kamieniem od podstawy, więc biegniemy, żeby jeszcze za dziennego światła przyjrzeć się trudnościom. Gdy stajemy u podnóża, objawia się nam dużo więcej rzeźby niż z daleka. Dolna część wygląda na bardzo kruchą ale system komino-żlebów rokuje szanse na w miarę szybkie przejście. Wyżej zaczyna się szachownica lodowych pól, którymi można dostać się w pobliże przełęczy. 700-metrowa grań do szczytu z tej perspektywy wygląda łat-

two, zobaczymy...

Po kolejnym dniu odpoczynku i przygotowywania sprzętu, nasza góra skąpana w promieniach zachodzącego słońca, już jutro mamy się z nią zmierzyć. Noc przynosi jednak załamanie pogody. Wczesnym rankiem zaczyna padać, krótka chwila przejaśnienia ukazuje nam ścianę w białej szacie. Nie zanosi się na szybką poprawę warunków, więc decydujemy się wykorzystać ten czas na zejście w dół i uzupełnienie zapasów świeżego prowiantu. Gdy znów nastaje czyste niebo, jesteśmy z powrotem pod ścianą. O świcie obciążeni jedynie zapasami na plus, minus dwa dni i tylko lekkimi spiworkami do przeczekania nocy, odrywamy się od stożka u podstawy ściany. Dolne partie tylko z kilkoma trudniejszymi miejscami pokonujemy bez asekuracji Wypatrzone warianty doprowadzają nas do stromych pól. Łód miejscami do 60 stopni, dla zyskania na czasie tu też nie wyciągamy liny. Zaczynamy się asekurować dopiero, gdy przegrywamy walkę ze słońcem. Jego promienie rozmiękczają pokrywającą łód warstwę śniegu, co od razu czyni wspinaczkę dużo mniej pewną. Na szczęście jesteśmy na tyle wysoko, że uwolnione z lodu, sunące w dół kamienie nie mogą nam już zagrozić. Kilka długości liny bardzo stromego lodu wyprowadza nas na przełęcz, wysokość 5700 m.

Na jej szerokim siodle nie czekają na nas dobre wieści. Grań powyżej jest jednak bardzo stroma i najeżona serakami. Chyba największy z nich, ten szczytowy, wygląda na trudny orzech do zgryzienia, może będzie się go dało jakoś obejść... Pomimo wczesnej jeszcze południowej godziny, gruba warstwa brejowatego świeżego śniegu zmusza nas do

odłożenia ataku na godziny nocne, kiedy może zrobić się bardziej twardo. Wykopujemy jamę śnieżną na biwak. W popołudniowym słońcu, po przeciwnej stronie doliny Hushe, potężny masyw K6 i granitowe turnie doliny Nangmah.

Wstajemy o 1 w nocy, cienka warstwa zmrożonego śniegu nie jest w stanie nas utrzymać, więc brniemy zapadając się po kolana. O wschodzie słońca docieramy pod zasadniczą kopułę szczytową. Po raz kolejny piękna panorama na otoczenie lodowca Baltoro. Żebro Abruzzich rozpala się czerwienią jako pierwsze. Skalki, które początkowo umożliwiają asekurację, wkrótce kończą się. Stoimy w pełnym słońcu na nachylonym pod kątem 55 stopni stoku, po kolana w śnieżnej breji. Do szczytu już tylko 300 metrów, ale warunki są tragiczne. Nie jesteśmy w stanie w jakikolwiek sposób zaasekurować się w tym terenie. Trawersowanie szczytowego seraka nasuwa skojarzenia z rosyjską ruletką. Staje się jasne, że tą drogą nie uda nam się osiągnąć wierzchołka. Mimo, że jest dopiero godzina 7 rano, podejmujemy decyzję o odwrócie.

Po przeczekaniu w jamie godzin największego skwaru, dla poprawy humoru wyruszamy ku w miarę łatwo dostępnemu sześciotysięcznemu wierzchołkowi po drugiej stronie przełęczy. Po wspinaczkę stromym polem śnieżnym i pokonaniu kilku szczelin, tuż przed zachodem stajemy na szczycie. Pętla na wierzchołkowej stercie kamieni nie pozostawia złudzeń że nie jesteśmy pierwszymi zdobywcami. Ostatnie promienie słońca na piramidzie wciąż niezdobytą Honboro, kropczka naszego namiociku na lodowcu poka-

zuje, jak to jest jeszcze daleko. Rankiem zjeżdżamy, kolejne stanowiska z białych pętelek znaczą drogę naszego odwrotu. Gdy w dolnej części ściany dopada nas słońce, na moment robi się jeszcze bardzo przygodowo, ale na szczęście bez żadnych uszczerbków na zdrowiu, docieramy do podstawy. Okno pogodowe kończy się i znowu zaczyna padać.

Po wstępnym odzyskaniu sił zwijamy naszą bazę pod Bukma Col i poszukiwaniu odpoczynku od lodowego świata schodzimy ku bardziej zielonym terenom. Przy lodospadzie wypływającym z kotła Khasumik zostawiamy depozyt sprzętowy – południowa flank



Początek lodowca Bukma, po prawej masyw Honboro

Góry wysokie



Południowo - zachodnia grań Honboro West nad lodowcem Khasumik

to nasza ostatnia opcja. Podczas zejścia krótkie przejaśnienie odsłania nowy cel. Długa grań z zachodniego wierzchołka jest postrzępiona mniejszymi i większymi turniczkami, ale tym razem duża ilość skały kojarzy nam się pozytywnie z możliwością założenia asekuracji. Niewiadomą pozostaje tylko wejście na grań. Najniższym punktem jest szeroka przełęcz, mikstowa ściana poniżej ma co najmniej 300 m wysokości. Czy będzie się dało obejść wieńczący ją potężny serak, dowiemy się na miejscu. Przez następnych kilka dni masywnie leje. Degustujemy obficie zapijane wodą z Pluszszem pikantne wytwory kulinarnych eksperymentów Wojtka i popadamy w ogólne rozleniwienie.

W górę wyruszamy dopiero po sześciu dniach. Dociążeni wcześniej zostawionym sprzętem wolno podchodzimy pod stromy lodospad. 400 metrowej długości żleb po lewej stronie szczęśliwie wybawia nas od jego pokonywania. Następny dzień wita nas już po biwaku w obszernym kotle Khasumik, wysokość 5200 m. Ponownie czyste błękitne niebo, przed nami jak na dłoni południowa grań, do szczytu jeszcze 1200 m deniwelacji. W ramach rekonesansu, brnąc w świeżym śniegu, przecinamy lodowiec do podnóża przełęczy. Widać że serak zagrozi nam tylko na krótko w dolnych partiach, wyżej da się przejść poza jego zasięgiem, po lewej. Od szczeliny

brzeżnej do pokonania mamy na oko 200 m lodowego stożka i jeszcze ze 300 m mikstowej ściany. Słońce wychodzi o godzinie 10, zasłana kamieniami podstawa nie pozostawia złudzeń, trzeba się będzie szybko wspinać. Wzięcie sprzętu biwakowego jak pierwotnie planowaliśmy odpada, to musi być akcja spod znaku fast and light. Godna kolacja, ostatnie trzy puszki tuńczyka, niespokojny sen i pobudka o 3,30 rano. Błyski na horyzoncie nie prognozują dobrze, pogoda raczej długo się nie utrzyma.

O świcie pokonujemy szczytną brzeżną i wbijamy się w twardego lodu. Wielki serak milczy

i przepuszcza nas do mikstowego terenu. Tu pomimo skały nie pierwszorzędnej jakości i sporej ekspozycji, poza zasięgiem spadającego lodu czujemy się bardzo komfortowo. Kolejne długości liny przechodzimy asekurując się na sztywno. Trudności nie przekraczają V stopnia ale kruszyzna sprawia że zdecydowanie nie jest to mikst, który można by komuś polecić. Gdy zza grani wygląda słońce, jesteśmy już na wysokości przełęczy. Trawers do siodła zajmuje jeszcze sporo czasu, tak że na miejscu jesteśmy dopiero po godzinie 13. Słońce chowa się gdzieś za chmurami, od razu robi się nieprzyjemnie zimno. Przed nami bardzo stromy lodowy stok. Prowadzący teraz Andrzej trzyma się jego lewej krawędzi, gdzie możliwa jest asekuracja ze skały. Po kilku kolejnych godzinach, pod koniec klucząc



Ostatnie metry przed wierzchołkiem

w przykłej kruszyźnie, wydostajemy się na pierwszą kulminację. Jak było widać z dołu, przed kopułą szczytową czekają nas jeszcze dwie turnie. Pierwszą z nich obchodzimy po prawej, po łańcuchowym śniegu. Gdy stoimy na przełęczce powyżej, spod chmur wyłania się zachodzące słońce, na plecach czuję już chłód nocy, za chwilę wyciągamy czołwki.

Przez szereg kolejnych godzin pokonujemy drugą turnię, jest trudno i kruch, wspinamy się bardzo powoli, świat redukuje się do wąskiego kręgu światła czołwki, lina niknie gdzieś w ciemności. Za kulminacją wąska przełęczka i dalej ostra żyłotka śnieżnej grani. Gdy w końcu napotykamy sporą półkę, decydujemy się „zakiblować” przez resztę nocy. Zakładamy kurtki puchowe, mościmy się jak najwygodniej na poukładanych kamieniach i sprzecz, gotujemy. Miło rozgrzani żurkiem z kuskusem szybko zasypiamy. Gdy po jakimś czasie budzi nas ciągnące po plecach zimno, rozpoczynają się z kolei godziny dygotu. Wreszcie o 5 rano, wyczekiwany wschód słońca, słabe promienie powoli rozgrzewają. Jeszcze raz morze szczytów, a tuż nad nami śnieżny wierzchołek, to nie więcej jak 200 metrów przewyższenia i trudności już raczej niewielkie. Ruszamy opieszale z lotną asekuracją. Niewyspanie i zmęczenie z poprzedniego dnia dają o sobie znać częstymi przystankami ale powoli wszystko zostaje pod nami. O godz. 10 dnia 21 sierpnia stajemy na szczycie Honboro West (6430 m). W odległości 200 metrów od nas widać wierzchołek wschodni. To maksymalnie 20 metrów wyżej, a postrzępiona groźnymi nawisami grań nie rokuje szybkiego przejścia. W takiej sytuacji uznajemy wierzchołek zachodni, na którym stoimy, za logiczne zakończenie naszej drogi południowo – zachodnią granią.

Nasza batalia o ten szczyt kończy się, trzeba jeszcze tylko bezpiecznie zejść. Niebo ponownie zasnuwają chmury, robimy kilka zdjęć i nie zwlekając tą samą drogą opuszczamy się w dół. O zmroku docieramy na kulminację nad przełęczą, zaczyna się kolejna noc. Na siodle krótkie gotowanie w blasku księżyca, szybko przerywamy ogarniający nas senny marazm i zaczynamy zasadnicze zjazd ścianą. Gdy o świcie stajemy u podstawy zaczyna padać gęsty śnieg. Po 53 godzinach akcji, solidnie wyczerpani dreptamy w kierunku



Honboro West zdobyty!

ku namiotowi. Następnego dnia jesteśmy świadkami sporej lawiny z seraka pod przełęczą. Syci działalności wspinaczkowej, pozostałe dni wyjazdu spędzamy na wypoczynkowych trekkingach i zwiedzaniu.

Podsumowanie

Podczas ponad miesięcznego pobytu w rejonie Honboro oraz Shigar Mountains wyeksplorowano trzy dziewicze doliny (Lodowce Thalle, Bukma i Khasumik) oraz dokonano wejść na szczyty:

-**Szczyt ok. 4100 m** – bez trudności;

-**Szczyt nr 214 (ok. 5150 m)** – bez trudności. Prawdopodobnie pierwsze wejście 26.07.2007;

-**Szczyt nr 215 (ok. 5100 m)** – bez trudności. Prawdopodobnie pierwsze wejście 26.07.2007;

-Mirkasia Peak (ok. 5800-6000 m) – pierwsze wejście 30.07.2007 „Droga Klasyczna” trudności: M3+/lód 60 stopni/D;

-**Peak nr 47 (6000 m)** – nowa droga Ukosem przez północno-zachodnią ścianę Bukma Col i dalej południową granią na wierzchołek trudności: M4/lód 70 stopni/TD;

-**Honboro Peak West (ok. 6430 m)** – pierwsze wejście 21.08.2007 Lewą częścią zachodniej ściany Kande Col i dalej południowo-zachodnią granią na wierzchołek, trudności: M5/lód 60 stopni/ED.

Uczestnicy wyprawy Łukasz Depta, Andrzej Głuszek i Wojciech Kozub dziękują Polskiemu Związkowi Alpinizmu oraz Fundacji imienia Andrzeja Zawady za pełne sfinansowanie wyjazdu.

Wyprawa na Kongur Shan (7719 m)

Marcin Hennig

W wyprawie Klubu Wysokogórskiego Trójmiasto na Kongur Shan udział wzięło 8 osób: Marcin Hennig, Andrzej Rusowicz, Artur Elwirski, Artur Karczewski i Magdalena Marciniak z KW Trójmiasto oraz Paweł Roehrych i Tomasz Sommer z KW Warszawa, a także Paweł Tomaszewski – niezrzeszony.

Celem wyprawy było pierwsze polskie i czwarte w ogóle wejście na wierzchołek Kongur Shan 7719 m n.p.m. nie powtórzoną drogą rosyjską na północnej ścianie z 2004 roku. Wyprawa ta do tej pory była trzecią polską działającą na tej górze. Po licznych perturbacjach organizacyjnych karawana do bazy pod północną stronę Kongur Shan wyruszyła 19 lipca z miejscowości Gezi położonej przy Karakorum Highway. Jeszcze tego samego dnia została założona baza na morenie lodowca Karayaylak na wysokości około 3500 m.

Po rozpoznaniu terenu okazało się, że dolny przebieg drogi rosyjskiej prowadzący lodowcem jest bardzo spękany i niebezpieczny. Po rekonesansie postanowiono poprowadzić nowy wariant omijający lodowiec po jego prawej stronie, terenem skalno-piarystym. Założono obóz 1 na wysokości 4600 m, na zwieńczeniu części skalnej. Niestety, akcja górską przerywana była częstymi załamaniami pogody, które w bazie powodowały podtopienia i konieczność wykonania prowizorycznej melioracji cieków wodnych zabezpieczających bazę przed zalaniem.

Na wysokości około 5000 m nasza nowa linia drogi połączyła się z linią rosyjską pod serakiem wyprowadzającym na plateau obozu 2. Niestety, od samego początku wyprawy część jej uczestników borykała się z problemami zdrowotnymi, zapoczątkowanymi jeszcze w czasie transportu do Chin. Problemy te wraz z warunkami górskimi i wzrostem wysokości uszczupliły możliwości zespołu. Z tego m.in. powodu już 29 lipca Paweł Roehrych i Tomasz Sommer opuszczają bazę i udają się w podróż powrotną do Polski.

Uszczuplony 6-osobowy zespół działał od tego momentu w dwóch grupach po 3 osoby. Wynikiem tej

działalności jest założenie obozu 2 na 5200 m i zaporęczowanie części drogi prowadzącej do niego, a także – w późniejszym etapie – założenie obozu 3 na wysokości 5700 m, pod barierą seraków odgradzających drogę do górnej partii góry. Jednak w wyniku narastającego zmęczenia i załamania pogody, nie udaje się zaporęczyć tej bariery i założyć obozu powyżej niej na 6100 m, co było celem tego wyjścia. Po zejściu do bazy pobyt w niej przeciąga się przez długotrwałe załamanie pogody. Od kilku dni naszymi nowymi sąsiadami jest wyprawa południowokoreańska, która za cel ma tę samą drogę. Koreańczycy powtarzają naszą nową linię omijającą lodowiec i za naszą zgodą wykorzystują nasze liny poręczowe.

Niestety różnica około 10 dni w działalności obu wypraw nie pozwala nam na połączenie sił na poręczówkach między obozem 1 a 2 oraz współdziałanie. Krótkotrwałe chwile bez opadów urozmaicane są międzynarodowymi grami w siatkówkę i piłkę nożną (Kongur Shan Cup). Gry te, mimo naszego wąskiego składu, są bardzo zawzięte i pomni MŚ 2002 udaje nam się dopiero w rzutach karnych zrewanżować za porażkę naszej narodowej reprezentacji.

Ze względu na uszczuplony zespół decydujemy się na zaporęczowanie jeszcze jedynie bariery seraków nad obozem trzecim z użyciem sprzętu już wyniesionego, a dalszą działalność powyżej 6000 m planujemy pro-





Wspólna fotografia z wyprawą koreańską.

Fot. M. Hennig

wadzić w stylu alpejskim.

Mimo wcześniejszych wyjść do góry, dopiero 8 sierpnia udaje nam się wznieść powyżej obozu W tym czasie nasze szeregi z powodu problemów zdrowotnych opuszcza kolejny uczestnik – Andrzej Rusowicz – i wraca do kraju.

Z uwagi na znaczne opady wzrasta zagrożenie lawinowe. Nasza linia wspinaczki jest poprzecinana torem lawin, które zabierają nam część zdeponowanego sprzętu. Dopiero 11 sierpnia, zespołowi Elwirski i Karczewski udaje się zaporęczyć część bariery seraków do wysokości około 6000 m n.p.m. Podczas kolejnego planowanego wypadu 12 sierpnia, zespół Hennig - Tomaszewski ma za zadanie zaporęczowanie przy użyciu sztucznych ułatwień przewieszzonego fragmentu seraka i wyjście na plateau, gdzie ma się znajdować kolejny obóz. Niestety mocne załamanie pogody nie pozwala na tą akcję, a bardzo silny wiatr bardzo utrudnia egzystencję.

Kolejny dzień – 13 sierpnia, przynosi jedynie poranne przejaśnienie, które ze względu na problemy zdrowotne uczestników i tak już niewielkiego zespołu (5 osób) i małą ilość czasu (karawana zamówiona na 19.08), zostaje wykorzystane do ewakuacji w dół i likwidacji niższych obozów. Przez kolejne dni mamy duże załamanie pogody, które po raz pierwszy w czasie naszego pobytu przynosi opady śniegu w bazie. Od wysokości ok. 6000 m góra wciąż jest opasana wietrznymi chmurami. 15 sierpnia, po zwinięciu bazy, udajemy się karawaną powrotną do Gezi, a po odpoczynku w rejonie pustyni Takla Makan, wracamy przez Kirgizję do Polski. Punktem zwrotnym wyprawy wydaje się moment nie założenia

w pierwszym wyjściu obozu na 6100 m, który miał być kluczem do górnych partii góry. Brak konsekwencji, wytrwałości i współdziałania zespołu w celu jego założenia w pierwszej fazie akcji górskiej, odcisnął się piętnem na późniejszym działaniu wyprawy, która już mocno osłabiona zarówno fizycznie, jak i psychicznie nie zdołała osiągnąć tego miejsca.

Podsumowując, wyprawa nie zakończyła się sukcesem z paru powodów:

- problemy zdrowotne uczestników wyprawy,
- nieporozumienia między uczestnikami, które osłabiały współdziałanie i tak już szczupłego zespołu, a także wpływały niekorzystnie na „spreż”,

- pogoda, która w sierpniu właściwie nie dawała szans na działalność powyżej 6000 m,
- rezygnacja w trakcie akcji górskiej części uczestników, co wpłynęło na morale pozostałych osób,
- duże przewyższenie (4200 m) powodujące zmęczenie fizyczne, ale też psychiczne zespołu (długimi wyjściami).

Wnioski:

- Zdecydowanie korzystniejszym okresem na działanie w tym rejonie wydaje się okres czerwiec – lipiec;

- Duża deniwelacja (4200 m) między nisko położoną bazą (3500 m), a wierzchołkiem (7719 m) mocno eksploatuje siły zespołu przy wynoszeniu kolejnych depozytów i poręczowaniu drogi, dlatego też lepszym rozwiązaniem wydaje się działalność w stylu alpejskim po uprzedniej aklimatyzacji na innej górze.

- Nabrano doświadczenia, które zaowocuje w przyszłych wyprawach wysokogórskich.

Z informacji uzyskanych po wyprawie wyprawa koreańska zdołała dotrzeć do wysokości 6800 m i z powodu złej pogody zrezygnowała z atakowania wierzchołka.

Uczestnicy wyprawy składają podziękowania Michałowi Kochańczykowi i Wiesławowi Madejczykowi za przekazanie cennych informacji na temat rejonu Kongur Shan. Podziękowania za wsparcie finansowe dla Polskiego Związku Alpinizmu, oraz firm: Fota S.A., Kummer, gd.pl, Wspinalnia. Za wsparcie sprzętowe dziękujemy firmom HiMountain, E-Pamir, Summit, Travellunch, Roberts, a za wsparcie medyczne – MedEverest.

Golden Lunacy – śmiertelnie poważnie

Ekspedycja na największy klif świata na południowej Grenlandii

tekst i zdjęcia: Dawid Kaszlikowski

– Ty to masz fajne życie, bez zobowiązań, dzieci, rodziny. Takie trochę niepoważne.

Kolejny, zwiedziony pozorami zazdrośnik, nieświadom moich zobowiązań, zaczął się rozpląwać nad nieswoim żywotem. Ale jego ostatnie zdanie nieco mnie zabolalo... Czy miał rację? Sposób życia setek podróżujących wspinaczy na całym świecie z pozoru nie wygląda poważnie. Brak stałej pracy, kredytów, rodziny, życie bez stabilizacji i mieszczkańskich perspektyw. Czy jestem tak niepoważny, czy może mój poważny wybór aż wbija w ziemię? Bo co jest dzisiaj poważne?

Żyjemy w wielkim politycznym cyrku, gdzie prowadzący narody są najbardziej zakłamanymi pajacami na ziemi, otacza nas marketingowy język nowej ery, język bezwstydnego lansu, który usprawiedliwia każde kłamstwo. Filozofia biznesu, wojny w imię pokoju – jeden wielki szwindel. Co gorsza, podobne politykierstwo, nieczyste rozgrywki są na porządku także w moim środowisku. Etos alpinisty – kupa śmiechu...

Nasze życie jest bardzo krótkie, dzisiaj piszę te słowa jutro już mnie nie będzie ... Po co więc brać udział w nie swoim wyścigu? A może alpinizm, wspinaczka, podróże to jedyne antidotum na trwające wokół szaleństwo, być może ostatni poważny życiowy wybór.



Eliza płynie pod klif. Na tych 2 km wody obawialiśmy się orek

A nawet, jeśli wspinaczka jest ucieczką? To ja uciekam dalej... tym razem na Grenlandię.

Od 4 dni nie możemy przepłynąć pod ścianę. Fale mają po kilka metrów wysokości, wiatr rozbijał nawet dryfujące przez fiord olbrzymy. Niektóre góry lodowe wystają 50 m ponad wodę i co jakiś czas rozpadają się z hukiem godnym himalajskiej lawiny.

Sztorm zerwał namiot kuchenny, przedwczoraj zniknął też nasz jedyny namiotik sypialny. Odeszliśmy na chwilę z bazy by przyrzec się falom po drugiej stronie półwyspu, a gdy wróciliśmy, po namiocie został tylko ślad na mchu. Śpiwory, telefon satelitarny, ubrania, aparaty, wszystko gdzieś wyparowało. W pierwszej chwili sądziliśmy, że to już koniec, że wszystko wylądowało w morzu. Że zostaliśmy tak jak stoimy... Na szczęście huragan przestawił namiot jedynie 200 m dalej – na drugą stronę skalnego masywu. Zniszczenia niewielkie – porwany w środku thermarest, porwany tropik, ale od czego mamy Duct Tape?

Jesteśmy tu sami, tylko Eliza i ja, daleko od popularnych ścian fiordu Tasermiut, w okolicy, gdzie wciąż można się poczuć pierwszym zdobywcą. Jedynym środkiem transportu na miejscu są nasze dwa morskie kajaki. Chcemy robić nową drogę na trudno dostępnym klifie w fiordzie Torssukatak. Wcześniej działały tu jedynie 3 ekspedycje, a każda miała wsparcie większej ekipy z ładu. My nie mamy.

Thumbnail, nazywany przez Inuitów Maujit Qaqarssuasia, jest największym klifem świata – ma 1,5 km wysokości. Ściana





Wejście z wody na ścianę klifu

jest ogromna. Gdy w końcu udaje nam się pod nią dotrzeć, pierwszym problemem jest znalezienie miejsca by zaparkować wyładowane sprzętem kajaki.

Przez pierwsze dni zadanie, jakie sobie wymyśliliśmy przytłacza i przeraża. Po raz pierwszy, w życiu boimy się nie tyle samej wspinaczki, co „podejścia” pod ścianę. Kajaki morskie są stosunkowo wywrotne. Płyniemy, co prawda w neoprenowych piankach, ale wszyscy specjaliści ostrzegali nas że w razie wpadnięcia do wody mamy maksymalnie 5 minut na pomyślną ewakuację z powrotem do kajaka. Woda tutaj ma ok. 0o C, i po tym czasie szanse na wydostanie się na pokład i wypompowanie wody drastycznie maleją. Potem następuje hipotermia i śmierć. Procedura ewakuacji wymaga pomocy drugiej osoby, która nie może pozwolić sobie na wywrotkę. Ale na dużej fali to tylko teoria, mamy świadomość, że w pewnych momentach po prostu nie wolno nam stracić równowagi – wtedy walczymy o życie. Wiosłowanie na kajaku jest dla nas jedynym sposobem by dostać się na ścianę. Dopiero po miesiącu zmagania z falami i wielu stresujących momentach, zaczęliśmy dealektować się tym niezwykłym środkiem transportu.

Po 2 dniach przygotowań wchodzimy w ścianę. Wspinamy się dość wolno, ciągnąc ze sobą wielki wór. Pod wieczór pierwszego dnia dochodzimy do wielkiego okapu, który w zamyśle ma być najlepszym miejscem drogi. Klucząc między czujnym zacięciem i płytą, udaje mi się prze-

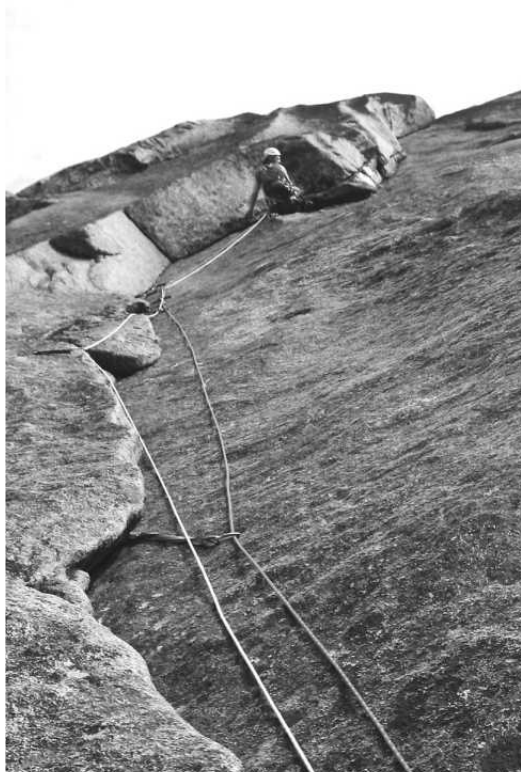
prowadzić wyciąg ze słabą asekuracją, który oceniam na 7a. Jestem naprawdę zadowolony ze wspinaczki, a jednocześnie zrozpaczony widokiem, który otwiera się powyżej. Rysa w okapie zanika. Wygląda na to, że będziemy musieli haczyć. Tego nie chcemy, po pierwsze szukamy drogi klasycznej, po drugie haczenie zajęłoby sporo czasu. Czasu, którego mniej wraz każdym łykiem osuszającym nasz bukłak.

Przez dłuższą chwilę naradzam się z Elizą i decydujemy się na zmianę linii drogi. Zjeżdżamy ok. 60 m na półkę i szu-

kając bardziej „puszczalskich” formacji, traversujemy pod lewą linię okapów. Jeszcze tego nie wiemy, ale z powodu tego obejścia stracimy dużo więcej czasu niż zajęłoby hakówka na wprost, za to zyskujemy klasykę. Przez kolejne dni każdego wieczora, właściwie fartem trafiamy na jakąś półkę. Nie wzięliśmy portaledge’a, ale i tak mamy gdzie spać. Wiezorami obserwujemy wał chmur wolno wdzierający się znad Atlantyku do wnętrza fiordów. Góry lodowe z tej perspektywy wyglądają jak płatki śniegu. Jesteśmy na samym skraju Grenlandii. Dalej ciągną się



Nasza baza, na drugim planie klif Maujit Qaqarssuasua z linią drogi *Golden Lunacy*



Wyciąg VIII+. Trzeciego dnia zbliżamy się do połowy ściany. Fot. E. Kubarska

tysiące kilometrów oceanu. Idąc palcem po mapie na południe, następny ład, na jaki natraficie to Patagonia. Ta samotność we dwoje jest niesamowita. Jesteśmy jak małe kropki. Na tej ścianie nie istniejemy dla świata.

Co jakiś czas fiordem przepływa łódź rybacka, ale nikt nie wie, że na wyspie Pammiak, na zasłoniętym głazami wzgórzu, dwójka Polaków rozłożyła swój obóz. A już na pewno nikt nie wpadnie na pomysł, by szukać ludzi na tym bezmiarze granitu 500, 700, 1000 metrów ponad wodą. Telefon satelitarny zostawiliśmy w wiszących kajakach pod ścianą.

Większość terenu nie nastęrcza specjalnych trudności – waha się między V a 6c... Na najtrudniejszym wyciągu za 7a+ natrafiam niestety na ruchomy głaz, wiszący wprost nad stanowiskiem. Przywieszam się, aby osadzić spita na gładkiej ścianie na zewnątrz, wypinam wszystkie liny pod sobą, Eliza przenosi stan i dopiero wtedy z sercem na ramieniu przechodzę po odstrzelonym gła-

zie. Nie spada. Z braku czasu już nie zjeżdżam, by poprawić styl. Następne metry są trudne i najtrudniejszy wyciąg, na jaki natrafiliśmy zostaje jako AF. Resztę wyciągów przechodzimy OS. Granit jest idealny i całe szczęście dość dobrze asekurowany z friendów, natomiast haki nie siadają w ogóle. Z założenia unikamy bicia spitów, osadzimy ich 5 na całej drodze – głównie do ciągnięcia wielkiego wora.

Muszę przyznać, że nigdy nie rozumiałem dogmatycznej, często pozerskiej niechęci do spitów wśród niektórych kolegów. Niechęci często nie wypływającej z logicznych przesłanek, czy z doświadczenia... Jest oczywiste, że niektóre rejonry wymagają większego zaangażowania, większego ryzyka, a niekoniecznie spitów. Inne, takie jak legendarne już Verdon czy Taghia, bez spitów nigdy by nie zaistniały. Moja własna filozofia eksploracji, rozróżnia miejsca i rodzaj drogi, jaką otwieram. Gdy wytyczam wielowyciągową linię w rejonie często wizytowanym, niemożliwym do asekuracji w inny sposób, a dodatkowo zakładam, że przygotowuję drogę dla innych wspinaczy – wtedy umieszczenie niezbędnych spitów wydaje się logiczne. W rejonach dziewiczych, dalekich od cywilizacji, a dodatkowo, w granicie sprawa jest prosta, na ogół spity są zupełnie zbędne. I nie czarujmy się – nie dlatego, że tak wypada. Osadzenie spita spowalnia wspinaczkę i jest męczące. Bez niego jest po prostu łatwiej. Nieco bardziej ryzykownie, ale łatwiej.

Po 3 dniach, spragnieni, docieramy do tarasu dzielącego ścianę na pół. Do tego miejsca przeszliśmy już 1200 m drogi. Noc znów zmienia się w wodną nawałnicę. Szczęśliwie na tarasie znaleźliśmy kolebę. Leżę wciśnięty pod podejrzenie niestabilny głaz. 10 cm nad głową granit, pod nią też granit – czuję się jak zaklinowany w dziadku do orzechów. Eliza ma trochę więcej oddechu i szersze perspektywy. Niewesołe zresztą. Woda z nieba to chyba największa zмога wspinania na Grenlandii. Ludzie pytają nas, czy było zimno? Nie. Samo południe wyspy to żadna Arktyka, średnia temperatura letniego dnia to 12 st. Mieliśmy tylko kilka nocy i dni z 0 na termometrze. Gorzej jest z deszczem, czasami pada przez kilka dni bez przerwy. Teraz w połowie wspinaczki ściana zmienia się w wodospad. Zarządzamy odwrót. Z nadzieją powrotu zostawiamy część sprzę-

tu pod głazem i trawersując systemem półek wycofujemy się ze ściany skalnej w łatwiejszy, alpejski teren.

Przez wiele godzin zjeżdżamy i zsuwamy się po pionowych trawach, potem dostajemy się do lodowo-snieżnego kuluaru, który od początku miał być naszą drogą powrotną. Z dołu wyglądał na łatwy. Z tego powodu nie zabraliśmy czekanów ani raków (po co ciągnąć je po litej ścianie), co teraz przysparza nam kilka siwych włosów. Pod kilkumetrową warstwą śniegu huczy rzeka. Po dwóch stronach pionowa ściana nie pozwala się wydostać na inny teren. Stromy zamrznięty na lód śnieg, mięciutkie, ślizgające się adidaski na nogach, hak w ręku do hamowania upadku. W szczelinach, 7 metrów pod nami – biała kipieli.

Pro-forma wiążemy się liną, ale tu jest podobnie jak z wywrotką na kajaku, jeżeli ktoś wpadnie pod lód to prąd pociągnie też asekuranta. Potem śnieg się urywa, z trudem znajdujemy kawałek ściany gdzie można by zjechać nie topiąc się pod wodospadem...

Tych kilku godzin nie da się opisać, ani opowiedzieć. Po 6 godzinach, wycieńczeni i przemarznięci stoimy u wylotu żlebu. I co z tego, skoro od namiotu dzieli nas 2 km lodowatej wody. Jakoś i tym razem nie udaje się przepłynąć od strzału. Czekamy kolejną mroczną noc, aż łaskawa natura przepuści nas do domu...

Deszcz pada prawie bez przerwy przez kolejne 6 dni. Jemy, śpimy, leżymy. Muzyka przesłuchana, książki przeczytane. Niestety prognozy pogody ciągle słabe. Umawiamy się, że jak tylko przestanie lać – wskoczymy do kajaka i podejmiemy kolejną próbę.

Tak robimy. Mimo beznadziejnej prognozy. Kuluar, który kosztował nas tyle nerwów, z rakami i czekaniem nie wydaje się już tak straszny. Pierwszego dnia osiągamy taras, by stąd, z najwyższego wcześniej osiągniętego punktu, kontynuować wspinaczkę. Mamy szczęście albo nosa, nazywajcie to jak chcecie, ale prognoza była zupełnie błędna. Drugiego dnia ciągle nie pada, ściana podeschła więc zaczynamy szybki wspin. Tym razem na lekko, nad głowami mamy 800 m łatwiejszej ściany. Natrafiamy na kilka poważnych problemów – jak mokre off-widthy, z którymi



Ucieczka ze zdradliwego kuluaru

dzielnie radzi sobie Eliza. Innym razem nie wiemy, gdzie jesteśmy Zaplanowana na ziemni linia drogi staje się bezużyteczną teorią. To jest ściana w iście himalajskiej skal – „płat śniegu” z naszego teoretycznego schematu, okazuje się polem wielkości 100 m². Pod wieczór docieramy na podszczytowe piargi, ale po krótkiej przerwie znów wiążemy się liną. Na sam koniec czeka nas 60-metrowy obelisk z czujnym wyciągiem za 6c+. Na wąskim szczycie stajemy w ostatnich promieniach słońca, chmury szybko podnoszą się znad wody jak kurtyna zasłaniając widok na dziesiątki innych ścian.

Eliza krzyczy do kamery: „Jesteśmy na szczycie, zrobiliśmy swoją drogę na największym klifie świata”.

Uśmiecham się ,jednocześnie rozglądając za miejscem pod dobry zjazd. Chyba po raz pierwszy jesteśmy tak szczęśliwi z osiągniętego piku. Wielka ściana, klasyka w pionie i na lodzie, wyczekiwanie, ból, nadzieja, fart, przygoda z morzem...przygoda z życiem.

Zejście zajęło nam kolejne 48 godzin. Przez następne dni deszcz zmienił bazę w jezioro. Po kolejnych dniach czekania zaczęło się kończyć jedzenie. Wiedzieliśmy, że kilkanaście km dalej jest wioska Inuitów, ale morze znów nie chciało nas przepuścić.

Podsumowanie :

Nowa polska droga na Grenlandii nazywa się *Golden Lunacy*, ma 2000 m długości, z tego 1500 trudnego wspinania, (VI, VIII+ , 1 x AF, reszta OS) ok. 30 wyciągów z liną, kilka „na żywca”. Autorzy: Eliza Kubarska i Dawid Kaszlikowski.

Odrębna rzeczywistość – wspinaczka na „tecze”

Dawid Kaszlikowski

Meksyk jest wielkim krajem. Wędrujemy od tropikalnych dżungli, pokrywających dawne królestwo Majów, po pustynię Sonora, od sportowych okapów El Salto, po wielkie ściany kanionu Candemena. Przez 4 miesiące udało nam się wspiąć w najważniejszych rejonach tego kraju, z jedną przerwą, podczas której Eliza starała się przeżyć.

Od początku zaplanowaliśmy duży tour. Eliza wyjechała pierwsza, miała spędzić w Meksyku pół roku, ale było jasne, że projekty fotograficzne i artystyczny film Elizy to tylko część naszego planu. Chcieliśmy stworzyć nową drogę na jednej z wielkich ścian.

Znaleźliśmy swój projekt już w styczniu, jednak seria zdarzeń odwlekła prace eksploracyjne. W grudniu i na początku stycznia zanurzyliśmy się głęboko w dżungle Chiapas. Realizowałem reportaż o „zaginionych miastach Majów”, więc spędziliśmy dwa tygodnie w lesie deszczowym, wędrując przez góry...i szukając dawnych Majów. Wtedy po raz pierwszy uświadomiliśmy sobie że las deszczowy jest jednym z najgorszych miejsc na Ziemi. W krótkim czasie nasze ciagle mokre ubrania zgniły, a źle leczona infekcja ucha sprawiła, że straciłem słuch. Eliza musiała porozumiewać się ze mną krzycząc mi prosto w twarz. Potem było już tylko gorzej. Eliza zapadła na malarię.

Wróciliśmy na północ kraju. Pierwsze ataki choroby zostały błędnie zdiagnozowane



Dawid i Eliza podczas podróży po Meksyku

Fot. D. Kaszlikowski

przez lekarzy, więc wylądowała w szpitalu dość późno, w złym stanie, z bardzo małą ilością czerwonych płytek krwi. Natychmiast podłączono ją do kroplówek. Niestety medycy, m.in. z politycznych powodów, dalej trwali przy błędnej diagnozie i odmawiali nam leków (oficjalna wersja brzmiała: „w Meksyku nie ma malarii”). Po kilku dniach w szpitalu sami zaczęliśmy podawać Elizie podstawowe środki antymalaryczne (mimo, że lekarze twierdzili, że ma zapalenie płuc). Po 2 kolejnych dniach lekarze przyznali, że badania krwi wykonane w laboratorium w odległym o 1000 km Mexico City wykazały, że leczenie, jakie zaczęliśmy na własną rękę było słuszne. Na szczęście rekonwalescencja przebiegała pomyślnie i mimo początkowych obaw o życie, Eliza już po 2 tygodniach od wyjścia ze szpitala była w stanie znów się wspiąć (dość szybko doprowadziła 7c/c+).

Wspinaczka na tęczę

Niedługo po szpitalnym epizodzie podjęliśmy próbę większej wspinaczki. W międzynarodowej ekipie pojechaliśmy w rejon gór Chihuahua do Parku Narodowego Basaseachic. W rejonie znajdują się dwa największe wodospady Ameryki Łacińskiej: 450-metrowy Piedra Volada i 250 m Basaseachic, oraz wielkie ściany kanionu Candemena (m.in. 900 m El Gigante). Początkowo chciałem wspiąć się na najbardziej ewidentny cel tych gór, El Gigante, ale



Dawid na 7. wyciągu 8a, 5.13b drogi *Subiendo el arcoiris*.

Fot. E. Kubarska



Subiendo el arcoiris.

Fot. E. Kubarska

nasza pięcioosobowa ekipa okazała się nieprzygotowana do tak dużej wspinaczki.

Dla odmiany skoncentrowaliśmy się z Elizą na celu średniej wielkości, za to jednej z najtrudniejszych dróg tych gór. Nie było oczywiście pewne, czy Eliza w ogóle będzie mogła się wspinać, nie mówiąc już o całodziennym napieraniu na dużą ścianę...

Mocno eksponowany filar 300 m od wodospadu Basaseachic wyglądał jak linia z marmuru. W dużej części przewieszona wspinaczka składa się z 10 wyciągów: 6c, 7a+, 7c, 7a, 6c, 6b+, 8a, 6b, 7a, 6c+ (wg aktualnej wyceny) i mimo sporej popularności, do dziś doczekała się zaledwie kilku czystych przejść. Stefan Glowacz i Kurt Albert, którzy dokonali pierwszego klasycznego przejścia wszystkich wyciągów określili *Subiendo* mianem „a superb five star classic”.

Podczas pierwszej próby przejścia napotkaliśmy trudności przekraczające informacje z autorskiego topo. Postanowiliśmy zaprzeczować część ściany, bo niektóre sekwencje wymagały pracy... umysłowej. Pewne kawałki wyglądały na zupełnie gładkie, ze ślada-

mi obrywów. Na trzech wyciągach musieliśmy znaleźć obejścia gładkich kawałków, co np. na wyciągu 7c zmusiło mnie do pominięcia 3 wpinek. Na szczęście linia jest na tyle wywieszona, że ewentualny lot skończyłby się w powietrzu. Na wyciągu 8a miałem problemy ze znalezieniem stopnia w kluczowym sięgnięciu. Pojawił się dopiero po intensywnym „szczoteczkowaniu” a po zaznaczeniu magnezją uwierzyłem że można na nim stać...

Podczas przygotowań do przejścia, jak i samej wspinaczki, co jakiś czas wiatr zalewał nas strugami wody z wodospadu, co sprawiło, że gorąca ściana natychmiast zmieniała się w zimny basen. Chwyty, magnezja i ubrania były mokre, co najmniej przez kilka minut, przytrzymując mnie np. na wyciągu 4, przed bulderowym sięgnięciem, i napędzając niezłego stracha po trudnościach wyciągu siódmego. Co ciekawe, cały czas towarzyszył nam niezwykle widok – wielka tęcza za plecami.

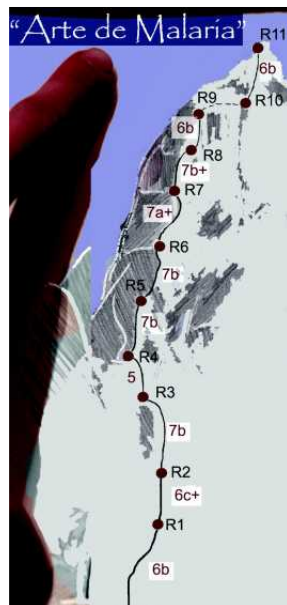
13 marca udało nam się przejść całą drogę *Subiendo El Arcoiris* (Wspinając się na tęczę), 5.13b - 8a, 300m RP, szczęśliwie już w pierwszej próbie po patentowaniu.

Sztuka malarii

Zaraz po powrocie z Chihuahua kontynuowaliśmy prace nad własnym projektem. Na początku przetransportowaliśmy liny, sprzęt i wodę w głąb Parku Narodowego Huasteca

Nuevo Leon.

Wjazd do tych wąwozów usytuowany jest praktycznie w Monterrey, największej biznesowej metropolii Meksyku, jednak pod naszą ścianę dociera już bardzo niewielu ludzi. Droga kończy się w Guitarritas – miejscu nazywanym przez Indian Huichol „środkiem świata”. Urokliwy i odludny zakątek jest miejscem corocznych indiańskich pielgrzymek



Wielkie ściany



Dawid skacze na 6. wyciągu *Arte de malaria*. Fot. E. Kubarska

i rytuałów. Rozbiliśmy swój namiot pod suchymi drzewami i zaczęliśmy żmudne otwieranie i czyszczenie linii, co w sumie zajęło 2 tygodnie.

Pierwszy wyciąg kluczy między kaktusami, ale skała jest solidna...Niestety na 3. wyciągu wapien okazuje się tak kruchy, że cały czas zastanawiam się, czy po serii strzałów na podchwytach, część okapu wi-

szącego nad stanowiskiem nie zmiecie Elizy (potem zmieniamy linię drogi). Kruszyzna w przewieszeniu na tym samym wyciągu praktycznie uniemożliwia wspinaczkę klasyczną podczas otwierania drogi.

Wiem, że chwytty są pod spodem, ale wyciągnięty jak struna praktycznie nie mam żadnej możliwości ich użycia. Musiałbym, bowiem zrzucić kamienie prosto na swoją głowę... Otuchy dodaje fakt, że wyższe wyciągi wyglądają na idealne piękne rysy i przewieszane płyty. Idziemy dalej. W końcu udaje nam się otworzyć jedną z „czystszych” linii w górach Huesteca. 29 marca nowa polska droga staje się faktem.

Przeszliśmy wszystkie wyciągi w stylu RP – w sumie 10, 300m wspinania, 5.12c – 7b+ max (6b,6c+,7b,5,7b,7b,7a+,7b+.6b,6b) Niestety 29 marca do późnej nocy udało nam się dotrzeć tylko na górę trudnych wyciągów. W czasie przejścia wciąż czyściliśmy skałę i zrzucaliśmy kamienie, więc z powodu ciemności nie przeszliśmy tego dnia dwóch ostatnich łatwych wyciągów za 6b. Będąc bardzo zmęczeni i nie mając wody, postanowiliśmy zjechać. Wyższe wyciągi przeszliśmy już wcześniej przy wytyczaniu OS-em, jednak postanowiliśmy wrócić następnego dnia żeby je mimo wszystko przejść. Na szczycie stanęli-

śmy więc dwa razy. Prawdopodobnie było to również pierwsze wejście na szczyt, ale nie zdecydowaliśmy się nadać mu nazwy. Natomiast nową drogę nazwaliśmy *Sztuka malaria* (*Arte de malaria*). Zgadnijcie dlaczego?

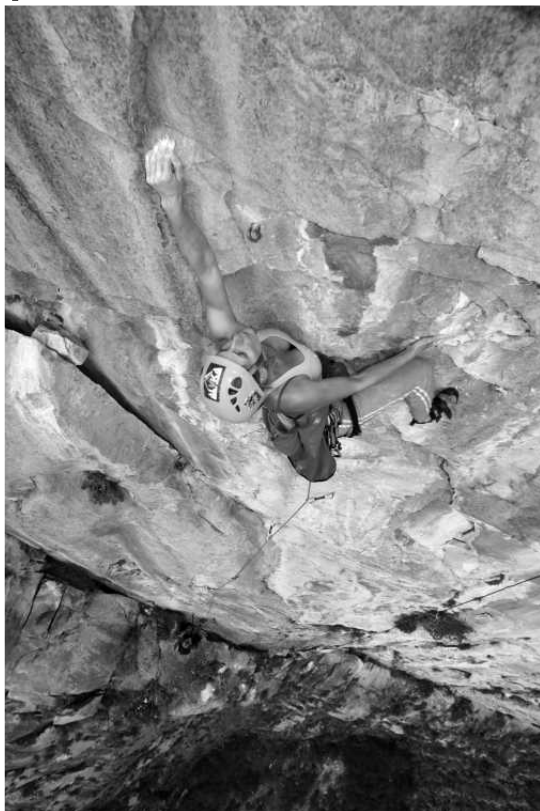
P.S. W trakcie naszej podróży udało nam się wspiąć w większości topowych rejonów Meksyku. Zwykle spędzaliśmy w nich zaledwie po kilka dni, więc nie było szans na trudne przejścia sportowe. Dawid przeszedł kilkanaście dróg 7c-8a+ RP oraz kilka 7c FL i OS. Eliza 7c/c+ RP, 7b OS oraz sporo dróg 7a+ OS. (Wszystkie RP w ciągu jednego dnia)

Wyprawa została a dofinansowana przez Polski Związek Alpinizmu.

Głównymi sponsorami byli: Alvika, Tendon i Se-Mar

Sponsorzy sprzętowi: Hurtownia Fatra, Marabut, Lhotse

Dawid Kaszlikowski jest sponsorowany przez Hannah i Tendon



Eliza na 5. wyciągu 7b *Arte de malaria*

Fot. D. Kaszlikowski

Freerajdy Subaru Climbing Team

Nowa droga w Chinach

Andrzej Sokołowski

Gdy po raz kolejny gdzieś w sieci zobaczyłem fotkę Seerdengpu (5592 m). tej wciąż dziewiczej góry, z pięknym północno-zachodnim filarem, pomyślałem, że muszę tam kiedyś wrócić. Słyszeliśmy o kilku próbach zdobycia ale jak dotąd nikomu nie udało się na nią wejść. Z każdej strony opancerzona masą granitu o niekorzystnej rzeźbie (znikoma ilość rys i dużo odpęknionych „flake’ów”), co pomimo niewielkiego oddalenia od cywilizacji, nadaje jej wiele powagi.

Nasza tegoroczna działalność w Qonglai miała na celu wgrzyzenie się w północno-zachodni filar Seerdengpu, by tą formacją zrobić nową drogę. Na około trzy tygodnie pobytu w górach, mieliśmy około 2 dni pełnej pogody – w tym pierwszy, kiedy podchodziliśmy pod ściany na rekonesans oraz drugi – podczas samej wspinaczki na Niuxim Shan. Wiem-wiem, zwalanie na pogodę to najprostsza rzecz, ale w górach Qonglai takie warunki są po prostu standardem. Już same porosty na drzewach są niepokojące, wskazują że klimat jest tu bardzo wilgotny a wielokrotne podejście do naszej bazy wyglądało, jakbyśmy przedzierali się przez tropikalny gąszcz.

Ktoś by powiedział – to czemu się nie dowiedzieliście wcześniej, że rejon ma niestabilną pogodę? Ja bym odpowiedział – to spytaj także tych ludzi, którzy jeżdżą do Patagonii. Jadą tam wiedząc, że mogą czekać na jedno okno pogodowe przez cały miesiąc. Na tym ponoć polega alpinizm – to cholerne czekanie. Ale od początku.

Nie będę opisywał rejonu ponieważ taką informację, dojazd oraz garść potrzebnych patentów, można znaleźć w artykule Błażeja Ceranki w „Taterniku” nr 1-2/2006. Z tego co wiem, była to pierwsza polska wyprawa w tamte okolice, chłopaki chcieli wytyczyć nową drogę na południowej ścianie Siguniang (6250 m). Lecz niestety

wrócili bez sukcesu. Podobnie było zeszłej jesieni, kiedy pojechałem z Marcinem Rutkowskim (partner Błażeja sprzed roku) i Marcinem Tomaszewskim pod Seerdengpu. Wbiliśmy się w zachodnią ścianę Seerdengpu. Udało nam się urobić tylko 350m. w stromym i niebezpiecznym lodowo-mikstowym kominie. Po czym kontuzja jednego z nas, po oberwaniu sporym kawałem lodu w bark, zmusiła zespół do wycofu.

Ten rok przyniósł nowe plany. Już w innym zespole wybraliśmy się latem z głównym zamiarem wspinania po suchej skale, wybierając wcześniej jako cel wspomniany północno-zachodni filar Seerdengpu.

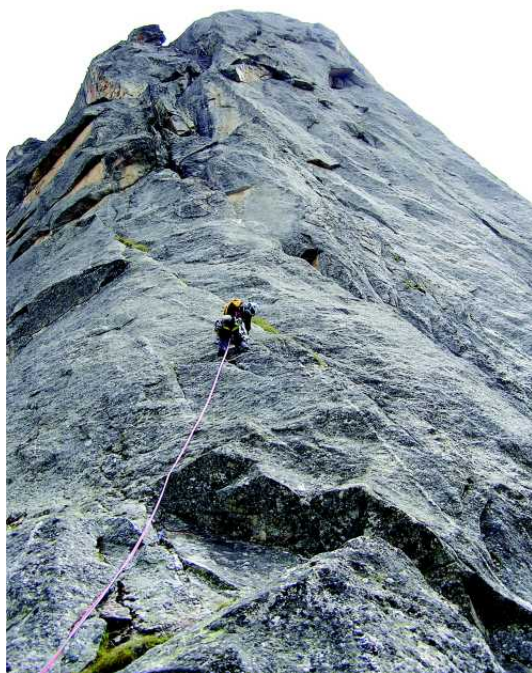
Wraz z „synami Giewontu” Marcinem Kacperkiem i Przemkiem Wójcikiem wyjechałem w połowie sierpnia na wycieczkę do Chin. Nabraliśmy dużo sprzętu na wspinanie letnie i zimowe. Po wylądowaniu w Chengdu załatwiliśmy pozwolenie na działalność wspinaczkową. Z odzyskaniem cargo oczywiście mieliśmy problemy i po kilku dniach byliśmy w miejscowości wypadowej Rilong (3200 m). Plan był prosty i łatwy jak dojazd pod ściany: zrobić drogę na Seerdengpu, a następnie przenieść się pod Sigunian-



Widok z biwaku na dziewicze szczyty: z prawej Seerdengpu (5592 m)

Fot. A. Sokołowski

Wielkie ściany



Prowadzenie wyciągu VII+ 4xA0. Fot. M. Kacperek

ga i trzasnąć tam kolejną – opowieść jak z bajki. Śmiało użyj tu zwrotu: „Lecz” stało się inaczej.

Pierwsze chwile pod ścianami to „mega pogoda”, po kilku dniach stwierdzamy, że planowany filar nie przypomina litej formacji – w dzień i w nocy kilkakrotnie masy kamieni przewalają się blisko naszej potencjalnej linii. Parę razy zmieniamy zdanie co do planowanej drogi – tu krucho, tam haczenie i styl kapsułowy – na co nie byliśmy przygotowani... Wreszcie po jakimś czasie, z przelknięciem śliny odpuszczamy temat potężnego „rzęcha”. Szybko deponujemy cały szpej pod ścianą Seerdengpu East (ok. 5200 m). Od tego momentu mamy nadzieję, że następnego dnia wstaniemy bardzo wcześnie i na lekko podejdziemy pod ścianę. Już w nocy przed pierwszym potencjalnym „atakiem”, nasz zryw z namiotu spowalnia i zatrzymuje spory opad deszczu i ta przeklęta wilgotna mgła.

– „Zdarza się przecież, nie zawsze może się poszczęścić i teraz akurat dupnęło” – dyskutujemy w żartach. Po kilku dniach stwierdziliśmy, że nawet w „dupowie” musimy iść po nasz szpej, który przez kolejny dzień „kwitnie” pod zalewaną ścianą. Do-

brze, że plecak zabezpieczyliśmy na miarę naszych możliwości, bo był praktycznie zasypany gruzem skalnym. Kolejny okres naszej zabawy w ciuciubabkę z pogodą, to oczekiwanie na słońce w Rilong oraz suszenie i czyszczenie friendów z piasku. Nic szczególnego nie wydarzyło się aż do okresu kiedy zdecydowaliśmy się na „coś” lub nic. Wybraliśmy to coś czyli Niuxim Shan (Serce Jaka, 4992 m). Szczyt już był zdobyty, lecz od czasu przytłaczającego widoku Seerdengpu zupełnie nie interesowaliśmy się nim. Niestety, ze względu na istniejące warunki, cel zupełnie nie brany pod uwagę stał się jedynym wyjściem wspinaczkowym. Wszystkie ściany były zaśnieżone a ściana Niuxin Shan była jedyną, która szybko schła.

Wiedzieliśmy o zbliżającym się jednodziennym oknie pogodowym i stwierdziliśmy, że musimy to wykorzystać na szybką wspinaczkę. Zaczęliśmy wspinać się późnym rankiem. Maszyna tak wylosowała, że zacząłem jako pierwszy prowadzić pierwszy blok wyciągów. Miałem lzy w oczach z nerwów, gdy prowadziłem długości liny wśród traw i krzaków. „Kto normalny jedzie tyle kilometrów i wspina się po takim gównie???” – myślę głośno i napieram do góry z paznokciami pełnymi ziemi. Oczywiście zdarzały się ładne fragmenty skały ale patrząc na schemat, szczególnie w dolnej partii ściany, ciężko to sobie wyobrazić. Kolejny pięciowyciągowy blok prowadzi Przemek, pokonuje już prawie czystą skałę i śmiało, bez wstydu można było robić pierwsze fotki wspinaczkowe. Przechodzi m.in. dziwnie wypychające zaciątko VI+, na którym następni z plecakami muszą nieźle zawalczyć. Kolejny etap należy do Marcina,



Drugi biwak.

Fot. M. Kacperek



Niuxin Shan (4942 m) i linia drogi - o nieco dziwnej nazwie *Droga Szkocka 1979, VIII, 4xA0*, ok. 1000 m.

Fot. A. Sokołowski

który prowadzi dwie długości liny i stwierdza, że dalej polecimy z lotną. Po ok. 200 m „grzania” tą techniką zaczęło robić się szaro, znaleźliśmy dość dobre „po części chroniące przed opadem, miejsce biwakowe. Tu jeszcze była kulturka – sucho, hot pady, ciepłe skarpetki itp. Budzimy się, szybkie zimne śniadanko, popadał delikatny śnieżek, ale lecimy dalej. Prowadzić zaczyna Marcin. Swoją pięciowyciągowy blok kończy ładną przerysą za ok. VII-, robiąc ją bez dużych friendów.

Kolej znów na mnie, trafia mi się najtrudniejszy wyciąg na całej drodze, bulderowy start pionową ścianką z dobrze wbityą jedynką, robię te ruchy zupełnie „na odlotach”. Później pionowa, przepiękna rysa na palce i po ok. 45 m stanowisko. Następne wyciągi są już łatwiejsze, ale niestety, na jednym z nich złapałem się kilka razy haków, nie było czasu ani pogody na to by zjeżdżać i patentować wyciąg. Po końcu wspinania szczyt był jeszcze daleko. Do pikę ciągnęła się łatwa, krucha grań, na której nie potrzebowaliśmy już lin. Przed samym najwyższym punktem szczytu stwier-

dziliśmy, że musimy zmykać na dół. Opad śniegu był coraz mocniejszy nie mieliśmy szansy na to, że zjedziemy do podstawy ściany tego samego dnia. Po ciemku i w opadzie śniegu meldujemy się w naszym biwakowym miejscu i po przeczekaniu baaardzo długiej nocy w wilgotnych puchówkach i zimnych adidasach stwierdzamy, że był to nasz najcięższy biwak. Z lekkimi odmrożeniami palców meldujemy się późnym rankiem u podstawy ściany.

Szczerze mówiąc liczyliśmy, że jeszcze przed nami duża szansa, by założyć Seerdengpu East, lecz pogoda nie dawała nawet cienia nadziei na wyjście słońca. Po nocy w bazie zeszliśmy do Rilong. Znieśliśmy także sprzęt oraz część rzeczy pozostawiając jedynie spanie. Gdy powróciliśmy by pakować bazę, śpiworów ani mat już nie było... Późniejsze śledztwo chińskiej policji wskazywało, po zostawionych przez złodziei roboczych rękawiczkach, że byli to jacyś zielarze.

W podsumowaniu chciałbym podziękować w naszym imieniu:

Firmie Subaru Import Polska za pasję przygody i podejmowania wyzwań; Polskemu Związkowi Alpinizmu;

Krzysiovi Boroniowi i firmie Regamet za gotowość wspierania śmiałych pomysłów;

Firmom: Trango – za rewelacyjny sprzęt wspinaczkowy i Direct Alpine – za ubrania, które naprawdę sprawdziły się w boju;

Firmie Freerajdy, która po to jest, aby pomagać, oraz Arturowi Kołodziejowi i Julianowi Kutrzebie, którzy nie są po to, ale zawsze pomagają.



Zjazd ścianą Niuxin Shana

Fot. A. Sokołowski

Wspinaczki w Taghii

W okresie 15.IX-10.XI.07 działał w Taghii (Atlas Wysoki) zespół krakowski Paweł Kopta i Monika Niedbalska.

Taghia to rejon skalny o charakterze wysokogórskim położony w Atlasie Wysokim w Maroku (wysokość szczytów w Taghii 2500-3000 m), obecnie najbardziej znany i popularny przyczółek europejskiego wspinania (głównie francuskiego i hiszpańskiego) w Afryce. Ściany Taghii oferują drogi głównie klasyczne o wysokości od 120 do 800 m, o trudnościach od 6a do 8a+ w skali francuskiej, większość dróg jest częściowo obita spitami, te najtrudniejsze obite sportowo w 100%, są również drogi typu *climbing adventure* (na własnej asekuracji). Skała wapienna jest rewelacyjnej jakości, bardzo szorstka, główne formacje to strome płyty, występują również niewielkie przewieszania, wspinaczka jest bardzo techniczna. Rejon przeżywa obecnie ogromny rozkwit, jest wręcz obleżony przez wspinaczy głównie francuskich i hiszpańskich. Powstają ciągle nowe drogi i są jeszcze możliwości dalszej eksploracji (głównie z użyciem spitów, ze względu na formacje płytowe). Oprócz fantastycznego wspinania atutem jest również pogoda; stabilna i ciepła, przynajmniej tak było w okresie września i pierwszej połowy października tego roku.

Dojazd z Marrakeszu na miejsce trwał 2 dni; Marrakesz-Azilal-Ait Mohamet-Zaouia (transport taxi kolektiw), dalej już na piechotę (wynajmuje się muły do transportu bagażu) do wsi Taghia, która leży w centrum rejonu

wspinaczkowego.

Zespół nasz w ciągu 20 dni pobytu w Taghii pokonał 9 dróg w skali od 6b+ do 7b+, wszystkie w stylu OS. Wykaz przebytych dróg:

18.IX Taoujdad *Au nom de reforme* 6c OS 400 m, 3 godz.

19.IX Oujdad *Baraka* 7b OS 680 m, 8 godz.

21.IX Timrazine *Canyon Apache* 6c+ OS 350 m, 5 godz.

23.IX Timrazine (Paroi des Sources) *Belles et Berbere* 6b+ OS 330m, 5 godz.

26.IX Timrazine (Paroi des Sources) *Classe Montagne Epinal* 6c+ OS 250m, 4 godz.

27.IX Oujdad *Whisky Berbere* 7b OS 600 m, 6,5 godz.

30.IX Tamzazate *Lane sale* 6c+ OS 160 m, 2 godz.

01.X Timrazine (Paroi des Sources) *Zebda* 7b+ 260 m, 5 godz.

04.X Ta Oujdad *A boire ou je tue chien* 6c OS 260 m, 4 godz.

06.X Tagoujimt n Tsouinant *La Bas* – wycof po 2 wyciągach

06.X Wspinaczka skałkowa w rejonie sportowym Al Madrassa

W Taghii są 2 schroniska, a oprócz tego możliwość spania pod namiotami i w grotach. Spora niedogodnością jest konieczność korzystania z miejscowej kuchni berberyjskiej w schroniskach, bardzo monotonnej i ubogiej, konieczność gotowania lub filtrowania wody, wspinacze europejscy są często nękanymi dolegliwościami głównie żołądkowymi. Również trzeba zaznaczyć, że ceny w tym rejonie są europejskie (schronisko: nocleg z 2 posiłkami 10-12 € dziennie) a warunki bytowe nie najlepsze. W schroniskach są przewodniki wspinaczkowe z kompletem dróg w Taghii, również z internetu można ściągnąć schematy:

www.onaclimb.com/taghia

www.remi-thivel.com/topos/taghia

Dziękujemy PZA za dofinansowanie wyjazdu, firmie MARMOT i sklepowi POLAR SPORT w Krakowie – za udzielenie zniżek przy zakupach sprzętu.

Paweł Kopta



Rejon Taghii.

Fot. P. Kopta

Sukcesy i rozczarowania

Arkadiusz Kamiński

Puchar Świata w Xining

Dnia 11 sierpnia w chińskiej miejscowości Xining rozegrana została piąta eliminacja tegorocznego Pucharu Świata we wspinaczce sportowej w konkurencji wspinania na czas. Nasz kraj reprezentowała tylko jedna zawodniczka kadry narodowej, Edyta Ropek z Bergson Team, Five Ten. Tak odległa podróż nie była zbyt udana dla tarnowianki, której udało się wywalczyć zaledwie siódme miejsce. Zwyciężyła Rosjanka Tatiana Ruiga, w zmaganiach panów wygrał również Rosjanin Jewgienij Wajczechowski.

Mistrzostwa Świata Juniorów

Najważniejsze tegoroczne zawody w rywalizacji najmłodszych zawodników rozegrane zostały na kontynencie południowo amerykańskim – w mieście Ibarra w Ekwadorze. Nasz kraj reprezentowała trójka zawodników: Mateusz Baran, Jędrzej Komosiński i Mateusz Puzoń, startujących w konkurencjach wspinania na czas i prowadzenia. Start naszych zawodników wypadł słabo, najlepsze miejsce zajął Jędrzej Komosiński, plasując się w czasówkach na 20 pozycji. Mateusz Puzoń zajął 24 miejsce na czas, a Mateusz Baran 28 miejsce w prowadzeniu. W 2007 roku czasówki zostały wyłączone z rozgrywek Pucharu Europy Juniorów i z wyjątkiem zawodów w Warszawie, zawodnicy nie mieli okazji zbyt wielu startów w zawodach międzynarodowych. Cztery medale wywalczone na Pucharze Europy Juniorów w Warszawie, dają jednak nadzieję na przyszłość, o ile zawodnicy będą mogli nabierać niezbędnego doświadczenia w dalszych startach na zawodach międzynarodowych.

Rock Masters w Arco

Zawody Rock Masters rozgrywane są pod patronatem Międzynarodowej Federacji Wspinaczki Sportowej IFSC (International Federation of Sport Climbing) w trzech wspinaczkowych konkurencjach: prowadzenie, na czas i buldering. Edycja 2007 rozegrana została w dniach 8-9 września. Na starcie stanęła światowa czołówka oficjalnych rankingów oraz wybitni wspinacze, którzy w więk-

szej mierze specjalizują się w ekstremalnym wspinaniu na naturalnych ścianach. Wszyscy – jak przystało na zawody elitarne – są indywidualnie zapraszani przez organizatorów.

Tegoroczne, wrześniowe Rock Masters w Arco nie były zbyt szczęśliwe dla naszych zawodników. Polskę reprezentowali Tomasz Oleksy (MKS Tarnovia, Bergson Team, Evolv, KSG) oraz Łukasz Świrk (Stowarzyszenie Miłośników Gór w Lubinie). Przypomnijmy, że tarnowianin w przeszłości kilkakrotnie wygrywał te najbardziej prestiżowe na świecie zawody. W tym roku, niestety, nie udało się powtórzyć sukcesów sprzed lat. Ostatecznie Tomek uplasował się na czwartej pozycji, a Łukasz wywalczył siódme miejsce.

Na pocieszenie możemy zaznaczyć, że Tomek ustanowił nowy rekord szybkości wspinania w Arco, bijąc tym samym, ustanowiony również przez siebie, poprzedni rekord.

Wicemistrzostwo Świata dla Polski

Edyta Ropek (MKS Tarnovia, Bergson Team, Five Ten) wywalczyła srebrny medal we wspinaniu na czas, a tym samym zdobyła tytuł Wicemistrzyni Świata. Dziewiąte Mistrzostwa Świata we wspinaczce sportowej odbyły w połowie września w północnej Hiszpanii, w miejscowości Aviles. Rozegrano trzy konkurencje: wspinanie na czas, buldering i prowadzenie. Polskę reprezentowało sześciu zawodników z Kadry Narodowej: Edyta Ropek, Agata Wiśniewska, Łukasz Świrk, Tomasz Oleksy, Grzegorz Karolak i Tomasz Wojciechowski. Największe nadzieje wiązaliśmy ze startem naszych zawodników w konkurencji szybkościowej i nie zawiedliśmy się.

Po raz pierwszy w historii wspinaczki sportowej i konkurencji wspinania na czas, zaprezentowano nową ścianę i nowe drogi służące do ustanawiania i bicia rekordu czasu ich pokonywania. Rozgrywki w konkurencji na czas odbyły się czwartego dnia mistrzostw, 21 września na starcie stawiała się rekordowa liczba zawodników – 39 kobiet i 70 mężczyzn. Sporym wyzwaniem było



Edyta Ropek na podium Mistrzostw Świata
Fot. A. Kamiński

przebrnięcie przez eliminacje, zwłaszcza w rywalizacji męskiej i dostanie się do półfinałowej szesnastki. Na szczęście nasi zawodnicy dzięki dobrym czasom zakwalifikowali się do kolejnej rundy zawodów. Edyta z piątym, Łukasz z jedenastym, a Tomek z czternastym czasem zostali rozstawieni w gronie najlepszych zawodników świata.

Wielki finał w zmaganiach kobiet to dla nas najbardziej emocjonujący i najbardziej widowiskowy bieg Mistrzostw Świata. W biegu na pierwszej drodze Edyta wygrała z Tatiana Ruigą, z przewagą około 0,4 sekundy. Po zmianie dróg, w wyrównanym biegu, obie zawodniczki ukończyły drogę w tym samym momencie. Dopiero po sprawdzeniu elektronicznego pomiaru czasów, okazało się że różnica jaka dzieli obie panie, niestety dla nas, na korzyść Rosjanki wyniosła 0,1,5 sekundy! Tym samym Tatiana Ruiga została aktualną Mistrzynią Świata, odbierając ten tytuł Elenie Riepkó z Ukrainy. Dla nas wielką radością jest medal Edyty Ropek, pierwszy srebrny w jej karierze sportowej, pierwszy tytuł Wicemistrzyni Świata.

Zmagania mężczyzn i walka naszych reprezentantów, miały dość dramatyczny przebieg. Tomasz Oleksy rozstawiony był w biegu o awans do ósemki z Rosjaninem Aleksandrem Kostierinem. Niestety, w jednym z biegów Tomek odpadł od ściany i ostatecznie sklasyfikowany został na 15 miejscu. Nieco lepiej wypadł Łukasz Świrk, który z pewnością może być zadowolony ze swojego wyniku. Łukasz trafił na Sergieja Sinicyna z Rosji, przegrał z nim oba biegi o około 4 sekundy, ale dzięki uzyskanym czasom uplasował się na 12 miejscu. Biorąc pod uwagę liczbę startujących zawodników jest to satysfakcjonujący wynik.

Wyniki naszej reprezentacji w bulderingu były słabe. W zmaganiach pań wystartowało 77 kobiet, wśród mężczyzn było aż 131 zawodników! Z naszej reprezentacji najlepszy wynik uzyskała Agata Wiśniewska (Gato, Boreal). Robiąc dwa problemy aż do topu i zaliczając pięć bonusów, wywalczyła 44 miejsce. Tomasz Oleksy (Bergson, KSG, Evolv) z trzema topami i pięcioma bonusami, zajął 45 miejsce. Tomasz Wojciechowski zajął 83 miejsce, a Grzegorz Karolak uplasował się na 87 pozycji.

Finałowa eliminacja Pucharu Świata w Puurs

Zawody odbyły się w belgijskiej miejscowości Puurs. Nasz kraj w konkurencji szybkościowej reprezentowała dwójka zawodników: Edyta Ropek (MKS Tarnovia, Bergson Team, Five Ten) i Łukasz Świrk (Stowarzyszenie Miłośników Gór w Lubinie). W konkurencji prowadzenie wystartowała Kinga Ociepa (Marmot Team, Five Ten). Szanse medalowe wiązaliśmy ze startem Wicemistrzyni Świata 2007 Edyty Ropek, niestety wyjazd do Puurs okazał się pechowy dla tarnowianki. Edyta w biegu o awans do ćwierćfinału trafiła na reprezentantkę Wenezueli, Rosmery Da Silva. W bardzo wyrównanym i szybkim biegu, Polka musiała uznać wyższość rywalki. Edyta ostatecznie uplasowała się na dziewiątej pozycji. Łukasz Świrk miał jeszcze większego pecha, w biegach o awans do 1/8 finału Polak dwukrotnie zrobił fałstart i zgodnie z przepisami musiał być wyeliminowany z dalszej rywalizacji. O dobrym starcie może mówić Kinga, startująca w konkurencji prowadzenie. Krakowianka awansowała do rundy półfinałowej, w której zajęła dobre trzynaste miejsce.

Zawody w Puurs były finałową eliminacją Pucharu Świata 2007 w konkurencji wspinania na czas. Po sześciu edycjach zawodów bardzo blisko pozycji medalowej była Edyta Ropek. Niestety, mimo zdobytych dwóch medali, nie udało się jej dostać na podium. Wywalczone przez Edytę piąte miejsce jest jednak bardzo dobrym wynikiem. Nasi najlepsi panowie w tej konkurencji uplasowali się na 14. (Łukasz Świrk) i 22. pozycji (Tomasz Oleksy). Dzięki startom naszych zawodników Polska uplasowała się na bardzo dobrej czwartej pozycji w rankingu państw w konkurencji wspinania na czas.

Pełne wyniki na: www.ifsc-climbing.org

Hagengebirge 2007

Na przełomie lipca i sierpnia 2007 odbyła się kolejna wyprawa Sopotkiego Klubu Taternictwa Jaskiniowego i Sekcji Grotołazów Wrocław w masyw Hagengebirge w Austrii. Głównym celem wyprawy była kontynuacja obiecującej jaskini w Czerwonych Kamieniach.

W Czerwonych Kamieniach rok wcześniej udało się osiągnąć głębokość około 700 m. W tym roku po założeniu biwaku na -600 kontynuowaliśmy prace w dwóch niezależnych przodkach. Niestety pierwszy, idący wraz z wodą w dół, dość szybko zakończył się syfonem. Kontynuował się za to drugi, ku naszemu utrapieniu znacznie ciaśniejszy i z każdym metrem coraz bardziej błotnisty. Ekipom biwakowym udało się w trudnych warunkach pokonać kilka zacisków i ostatecznie osiągnąć głębokość około 870 metrów. Problem nie został definitywnie zamknięty, jednak dalsze prace będą w tym miejscu bardzo trudne.

Umiarkowane postępy w Czerwonych Kamieniach zrekompensowało nam odkrycie położonej 140 metrów wyżej nowej jaskini, rozpoczynającej się efektowną sześćdziesięciometrową studnią. Z jej dna silny ciąg powietrza zaprowadził nas przez meander i mniejsze studzienki do kolejnej obszernej studni o głębokości ponad 90 m gdzie zakończyliśmy na ten rok eksploatację.

Dariusz Bartoszewski

Picos de Europa

W terminie 28. 07–26. 08. 2007 Katarzyna Biernacka, Katarzyna Okuszek i Marcin Gala ze Speleoklubu Warszawskiego wzięli udział w międzynarodowej wyprawie w masyw Picos de Europa w Hiszpanii. W wyprawie wzięło udział 33 grotołazów z Hiszpanii, Portugalii, Australii, Meksyku, Stanów Zjednoczonych i Polski. Kierownikiem wyprawy był Enrique Ogando Lastra.

Najważniejszym celem wyprawy była próba obejścia syfonu końcowego w jaskini PC-26. Jaskinia ta w poprzednich latach poznana została do głębokości -1150 m. Po zaporęczeniu jaskini kolejne zespoły zajęły się wspinaczką w kruchym terenie w okolicach dna. Niestety, wszystkie ciągi spotykały się w okolicach syfonu. Zapadła decyzja o przeprowadzeniu akcji nurkowej. W założeniach nurkiem poręczującym miał być Alan Warild. W razie pokonania syfonu, po drugiej stronie miała być prowadzona dalsza eksploracja w większym zespole. Niestety, syfon okazał się freatyczną rurą zapadającą się na głębokości uniemożliwiające pokonanie go z posiadanym sprzętem, a tym bardziej nie dającą szans na prowadzenie dalszej eksploracji. Podjęta została decyzja o retransporcie całego sprzętu i odporęczeniu jaskini. W rezultacie jaskinia PC-26 została pogłębiona do -1187 m.

Drugim celem zgrupowania była eksploracja jaskini VA-1. W czasie wcześniejszych wypraw została poznana do głębokości -544. Jaskinia jest trudna technicznie, dużo jest w niej ciasnych meandrów. Po zaporęczeniu jaskini i poprawieniu w kilku miejscach instalacji rozpoczęto trudną, bo prowadzoną z powierzchni eksplorację. W jej wyniku na koniec wyprawy jaskinia osiągnęła głębokość -806 m. Jaskinia daje możliwości dalszej eksploracji. Charakterystyka masywu daje podstawy do twierdzenia, że może zostać pogłębiona do około -1100 m.

Niestety, nie udało się znaleźć kontynuacji jaskini PC-31. Pewne szanse daje komin znajdujący się w końcowej części jaskini, jednak wspinaczka nim wymagać będzie dużego nakładu sił. W czasie wyprawy sprawdzono szereg otworów jaskiniowych; jeden z nich wydaje się prowadzić do obiecującego, nowego systemu jaskiniowego. Polscy uczestnicy wyprawy brali aktywny udział zarówno w przygotowaniach do wyprawy jak i w głównych działaniach eksploatacyjnych.

Marcin Gala

Jack Daniel's

W okresie od 3 do 24 sierpnia 2007 r. działała w masywie Tennengebirge w Austrii wyprawa grotołazów zorganizowana przez Speleoklub Bobry z Żagania. Głównym celem działalności była jaskinia Jack Daniel's. W ubiegłym roku udało się w tej jaskini dojść do głębokości -619 m, gdzie istnieje możliwość kontynuowania eksploracji w dwóch ciągach. W tym roku poszliśmy za wodą i dotarliśmy do syfonu na głębokości -748 m, więc dalsza eksploracja w tym



ciągu korytarzy stała się niemożliwa. Większość nowo odkrytych korytarzy została pomierzona. Jaskinia ma już 2500 m długości i dwa głębokie dna: -615 m i -748m. Eksplorację będziemy kontynuować podczas następnej wyprawy.

Ponadto poznaliśmy trzy inne, niewielkie jaskinie: P100, P-A.11, P-D.16 oraz prowadziliśmy akcje pomiarowe także na powierzchni (oznaczanie pozycji otworów i mocowanie markerów z nr katastralnym).

W wyprawie uczestniczyło 14 osób: Marcin Furtak (kierownik), Rajmund Kondratowicz, Wit Dokupil, Franciszek Kramek, Jacek Wiśniowski, Daniel Olek-sy, Rafał Brzeski, Piotr Jakubowicz, Marek Sawicki, Tomasz Kuźnicki, Jan Urszulak, Ryszard Maciejewski – ze Speleoklubu Bobry, oraz Jerzy Ganszer i Jerzy Pukowski – ze Speleoklubu Bielsko Biała.

Rajmund Kondratowicz

Wyprawa Dürrkar 2007

Między 25 lipca a 25 sierpnia miała miejsce wyprawa Krakowskiego Klubu Taternictwa Jaskiniowego. Celem był austriacki masyw Leoganger Steinberge, ten sam, w którym powstała druga na świecie jaskinia Lamprechtsofen. Jednak do eksploracji kierownik Andrzej Ciszewski wybrał inną część masywu.

Do tej pory eksplorowaliśmy wielki Ebersbergkar, w którym znajdują się górne otwory „Lampo”. Natomiast w tym roku przenieśliśmy się dosłownie za grani do niewielkiego i co ważne, prawie dziewiczego Dürrkaru. Rok temu trzyosobowy zespół eksplorował powierzchniowo ów kar, w tym odkrył Tropik Höhle osiągając głębokość około 110 m. W tym roku kontynuowaliśmy ich dzieło. Tropik osiągnął głębokość 235 m przy 500 m długości. Intensywna eksploracja powierzchniowa pozwoliła zlokalizować około 20 nowych otworów.

Do najciekawszych odkryć należą: Jaskinia Ćwiartka (1100 m długości, 170 m głębokości) i Jaskinia Dobrej Nadziei (112 m głębokości). Łącznie odkryto ponad 2,2 km korytarzy i co ciekawe, Ćwiartka i Tropik wydają się być już po drugiej stronie grani, w Ebersberkarze. Czyżby też zmierzały do Lampo?

Jakub Nowak

Prokletije – Bjeshket e Namuna 2007

Na przełomie lipca i sierpnia 2007 roku działała już po raz drugi wyprawa w Górach Prokletije. Organizatorami byli członkowie Wielkopolskiego Klubu Taternictwa Jaskiniowego, Akademickiego Klubu Grotołazów, Speleoklubu Świętokrzyskiego, we współpracy z ASAK Belgrad.

Pobyt w górach rozpoczęliśmy od załatwienia formalności związanych z przebywaniem w strefie granicznej. Nasza działalność skoncentrowana była głównie na eksploracji otoczenia dolin Grbaja i Ropojana. W celu lepszego rozpoznania tak dużego obszaru wyprawa podzieliła się na trzy grupy. Pierwsza działała na Zastanie Grbajskim w Albanii, który jest zespołem dużych kotłów lodowcowych otoczonych szczytami przekraczającymi 2000 m n.p.m. (Maja Kopri-shtit, Maja Lagojvet, Maja Shkurt, Maja Fortit, Karanfil). Drugi zespół miał za zadanie prowadzić eksplorację z Katunu Vojusa znajdującego się pomiędzy Volusnicą w Czarnogórze a Maja Vojusit w Albanii. Trzecia grupa swoją działalność prowadziła w masywie Belic po stronie czarnogórskiej, który otoczony jest wielkimi dolinami: Ropojana i Valbona. Najwyższym szczytem tej grupy jest Maja Rosit.

Efektem naszych poszukiwań jest sprawdzenie kilkudziesięciu otworów, które w większości stanowiły studnie powyżej 20 m głębokości i skartowanie ponad dwudziestu z nich. Trzy najgłębsze jaskinie mają od 120 do 160 metrów głębokości. W dwóch z nich eksplorację będziemy kontynuować w przyszłym roku. Namierzaliśmy również kilkanaście otworów, których z braku czasu nie sprawdziliśmy.

Krzysztof Najdek

Wschodnia ściana Shingu Charpa

W sierpniu rosyjsko-kazachski zespół w składzie Aleksander Klenow, Michaił Davy, Aleksander Szabunin dokonał pierwszego przejścia wschodniej ściany Shingu Charpa (5600m). Szczyt ten znajduje się w północno-zachodnim otoczeniu doliny Nangmah, w grupie K6 (Masherbrum Mountains, Karakorum.). Szczyt został zdobyty po raz pierwszy 23 lipca 2000 r. przez Koreańczyków.

W 2006 r. jego północny filar atakowały dwa zespoły: ukraiński (Igor Czapliński, Andriej Rodioncew i Orest Werbicki) i amerykański (Kelly Cordes i Josh Wharton). Amerykanie na ten cel otrzymali specjalne dofinansowanie z American Alpine Club. Ukraińcy byli pierwsi i ogłosili przejście filara. Na wieść o tym Amerykanie nie zrezygnowali i zaatakowali wcześniej wybrany cel, musieli jednak wyczołgać się z miksowego terenu pod szczytem. Kilka miesięcy później okazało się, że sukces ukraiński również był niepełny... Po nominacji do Złotego Czekana, Orest Werbicki oświadczył: „Nie przeszliśmy ostatnich 100 metrów do wierzchołka Shingu Charpa, nie mieliśmy wystarczającej ilości sprzętu do wspinania w lodzie”. Werbicki postanowił nie przyjeżdżać na wręczenie nagród do Grenoble – uważał, że nie ma do tego moralnego prawa.

Zarówno Amerykanie, jak i Ukraińcy mówili o kruchej skale, tak ładnie wyglądającej na zdjęciach, ściany. Klenow, współautor tegorocznego przejścia, potwierdza tę opinię: „To najtrudniejsza droga, jaką robiliśmy. W ścianie napotkaliśmy wiele problemów i niebezpieczeństw. Nie dziwię się, że nasi poprzednicy nie dotarli do wierzchołka...”



Jacuzzi na wierzchołku Mont Blanc

Niecodzienne wydarzenie miało miejsce 13 września 2007 na najwyższym szczycie Europy. Dwudziestopięcioro młodych Szwajcarów ustawiło na wierzchołku Mont Blanc przenośne jacuzzi. Następnie, ku zaskoczeniu alpinistów docierających w tym czasie na wierzchołek, zażywano w nim kąpiele i raczono się szampanem. Temperatura wody w jacuzzi osiągnęła 38 stopni C dzięki trzem palnikom butanowym. Dla realizacji przedsięwzięcia pomysłodawcy musieli zgromadzić grupę kilkudziesięciu przyjaciół zdolnych wynieść (i potem znieść) ponad 20 kg ładunki na wysokość 4810 m i przebywać tam przez kilka godzin.

Szwajcarzy już od 6 lat zajmują się ulepszaniem konstrukcji swoich jacuzzi, prezentując je przy różnych okazjach w najrozmaitszych miejscach, również coraz wyżej położonych. Również 2 miesiące wcześniej, 13 lipca, podobna akcja jak na Mont Blanc, udała się na innym alpejskim czterotysięczniku Allalinhorn (4027 m) w Alpach Pennińskich.



Więcej informacji: www.jacuzzi.ch

Urubko i Samojłow na szczycie K2

1 października 2007 r. Kazachowie Denis Urubko i Siergiej Samojłow dotarli na wierzchołek K2, po pokonaniu północnego filara. Żaden z alpinistów nie używał tlenu.

Wejście na drugi szczyt świata w październiku jest zupełnym ewenementem. Dotychczas najpóźniejsze wejście w sezonie należy do Amerykanów, którzy w 1978 r., idąc po śladach polskiej wyprawy (1976 r.) na pn.-wsch. grani, osiągnęli szczyt (w końcówce drogą I zdobywców) w dniach 6 i 7 września. Wejście Urubki i Samojłowa było ponadto pierwszym od północy od

11 lat. Po raz ostatni, w 1996 r. liczna grupa osiągnęła tą drogą szczyt, m.in. Polacy Piotr Puustelnik, Ryszard Pawłowski i Krzysztof Wielicki. K2 ma obecnie 281 wejść szczytowych, z czego tylko 32 osoby weszły od północy.

Urubko i Samojłow planowali początkowo poprowadzić nową drogę – filarem ograniczającym z lewej północną ścianę, jednak niebezpieczne warunki śnieżne, jakie tego sezonu panowały w tym rejonie Karakorum, nie pozwoliły na to. Wchodząc na K2 Denis Urubko zdobył swój dwunasty ośmiotysięcznik. Do kompletu brakuje mu jeszcze wejścia na Makalu i Cho Oyu. Siergiej Samojłow ma obecnie na koncie pięć szczytów ośmiotysięcznych.

Pewnym ułatwieniem dla kazachskiej dwójki była niewątpliwie wcześniejsza działalność ich rodaków – dużej wyprawy pod ogólnym kierownictwem Bağlana Żumusowa. W wyprawie uczestniczyli znani himalaiści Siergiej Bogomołow, Wasilij Piwcow i Maksut Żumajew. Ten ostatni był kierownikiem akcji górskiej. Trwająca ponad 2 miesiące walka z warunkami i niepogodą zakończyła się założeniem obozu na wysokości 8400 m. Nocujący w nim z 1 na 2 września Piwcow i Żumajew nie byli jednak w stanie w szalejącej wichurze i głębokim śniegu pokonać ostatnich 200 m dzielących ich od wierzchołka.

Babanow znów zwycięski!

Walery Babanow i Siergiej Kofanow dotarli w niedzielę 21 października 2007 r. o godz. 9.10 czasu lokalnego na wierzchołek Jannu (7710 m), kończąc swoją – poprowadzoną w stylu alpejskim – nową drogę północno-zachodnią granią. Partnerem dwukrotnego zdobywcy Złotego Czekana był tym razem jego 29-letni rodak Siergiej Kofanow.

Po założeniu bazy w dniu 1 października i aklimatyzacyjnym wejściu na sąsiedni szczyt Mera (6334 m), alpinści wybrali jako swój główny cel długą i stromą grań, o charakterze filara, rozdzielającą ściany północną i zachodnią. Grań ta, porównywana do zachodniego filara Makalu, była dotychczas atakowana tylko raz – przez Francuzów w latach dwudziestych. Babanow zrezygnował z początkowego planu, który przewidywał poprowadzenie nowej drogi na północnej ścianie, gdzie istnieją już trzy drogi – dwie w lewej części i diretissima rosyjska.

Właściwą akcję rosyjska dwójka zaczęła 14 października. Silny wiatr kilkakrotnie zatrzymywał dwójkę w namiocie, w którym spędzali biwaki kolejno na 5500, 5930, 7100 i 7400 m. Ostateczny atak nastąpił 20 października o godz. 6.00, po biwaku, w czasie którego cały czas padał śnieg.



Północna ściana Jannu. Droga Babanowa prowadzi jej prawym ograniczeniem.

www.mountain.ru

Wyścig na Elbrus

Portal www.russianclimb.com i firma Top Sport Travel zorganizowały w ostatnim sezonie letnim zawody we wbieganiu na najwyższy szczyt Kaukazu – Elbrus. Bieg rozegrano na dwóch trasach: ekstremalnej i klasycznej.

Trasa ekstremalna prowadziła z Azau (2400 m) na zachodni, wyższy wierzchołek (5642 m), a więc liczyła prawie 3 i pół kilometra różnicy poziomów. Wystartowało tylko 4 zawodników. Zwyciężył Siemion Dworniczenko (Kirgistan) w czasie 4 godzin 18 minut, przed Rosjaninem Siergiejem Surmoninem, który uzyskał 6 godzin 14 minut.

Do biegu na krótszej, klasycznej trasie zgłosiło się 12 zawodników. Startowano z miejsca zwanego Boczki (3700 m) a meta była również na zachodnim wierzchołku Elbrusa. Bieg wygrał Rosjanin Roman Gubanow (2 godz. 51 min., drugi był Siergiej Seliwerstow z Kirgistanu (2 godz. 53 min.) a trzeci Siergiej Fursow z Rosji (3 godz. 41 min.).

Jerzy Kukuczka 20 lat temu

18 września 1987 roku, między godz. 17 a 18 czasu lokalnego, Jerzy Kukuczka i Artur Hajzer weszli na główny wierzchołek Shisha Pangma (8027 m). Był to czternasty ośmiotysięcznik Kukuczki i w ten sposób stał się on drugim zdobywcą Korony Himalajów. „Nie jesteś drugi, jesteś wielki” – powiedział wówczas Reinhold Messner do Kukuczki.

Messnerowi zdobywanie wszystkich szczytów ośmiotysięcznych zajęło 17 lat, Jurek Kukuczka zdołał zrobić to w 8 lat! Na dodatek, niemal na wszystkie szczyty (wyjątkiem jest jego pierwszy szczyt „Korony” – Lhotse) wchodził nowymi drogami lub zimą.

50 lat temu na Mont Blanc du Tacul

18 sierpnia 1957 roku na stokach Mont Blanc du Tacul doszło do wypadku, w którym zginął prezes Klubu Wysokogórskiego, znany muzykolog i kompozytor Wawrzyniec Żuławski „Wawa”.

Żuławski, wraz z trójką innych Polaków – Stanisławem Bielem, Lechem Utrackim i Jerzym Warteresiewiczem oraz dwoma alpinistami francuskimi, brał udział w akcji ratowniczej „ostatniej szansy” – poszukiwaniu zaginionych od ponad tygodnia Stanisława Grońskiego i jego dwóch jugosłowiańskich towarzyszy. Warunki były ciężkie i bardzo niebezpieczne. Żuławski siedł związany z Bielem jako ostatni zespół. O godzinie 4 nad ranem runęły seraki lodowe prosto na tę



Stoki Mt. Blanc du Tacul, na których doszło do tragedii



dwójkę. Żuławski został wtrącony do szczeliny i zasypany masami śniegu i lodu. Biel wyszedł z wypadku żywy, ale z bardzo ciężkimi obrażeniami.

Wawrzyniec Żuławski był wielkim autorytetem dla powojennego pokolenia polskich wspinaczy, cieszył się szacunkiem międzynarodowym, działał energicznie na różnych polach. Był profesorem Wyższych Szkół Muzycznych w Łodzi i Warszawie, prezesem ZAIKS-u, działaczem Związku Kompozytorów Polskich, pisarzem, alpinistą i ofiarnym ratownikiem górskim. Nie do przecenienia jest jego wkład w odrodzenie Klubu Wysokogórskiego po okresie stalinowskim.

Ostrożnie z wysokością!

Dwie naukowe placówki medyczne w Zagrosie w Hiszpanii ogłosiły niepokojące wyniki szczegółowych badań mózgu, przeprowadzonych na 13 wspinaczach everestowskich. Tylko jeden z nich powrócił bez uszkodzeń – u wszystkich pozostałych hipoksja wyrządziła w „szarych komórkach” mniejsze lub większe szkody. U alpinistów nazwanych „zawodowymi” stwierdzono poważniejsze zmiany, z czego wynika, że skutki niszczenia komórek kumulują się w trakcie ponawiania wspinaczek na duże wysokości. Stwierdzone uszkodzenia pochodziły częściowo sprzed 3 lat, co byłoby dowodem na to, że zmiany mogą cofać się bardzo długo lub być nieodwracalne. Poprawa nie następowała nawet u osób, które przerwały wysokie wejścia, co gorsza, niebezpieczne zmiany badacze obserwują też u ludzi, którzy wchodzili na szczyty dużo niższe aniżeli 8000 m. Doniesienia te zostały opublikowane w amerykańskim piśmie naukowym. Pismo postuluje objęcie badaniami większej liczby osób i poszukiwanie metod zapobiegania szkodom. Problemy te były medycynie wiadome, u nas mówił o nich prof. Zdzisław Ryn, tu chodzi jednak o ich pełne empiryczne potwierdzenie (jn).

Wypadki taternickie i speleologiczne w Tatrach Polskich

październik 2006 – wrzesień 2007

Adam Marasek

W niedzielę **26.11.2006** roku przed południem, do Centrali TOPR dotarła informacja, że z Jaskini Zimnej nie powróciła o wyznaczonej godzinie alarmowej grupa grotolazów z Wielkopolski. Mieli oni zamiar wejść górnym a wyjść dolnym otworem jaskini. Do górnego otworu wyruszyła z Centrali grupa rekonasansowa. Ratownikom udało się nawiązać kontakt głosowy z grotolazami będącymi, jak się okazało, niedaleko górnego otworu. Według ich relacji, realizując swój plan, zjeżdżali w dół ściągając za sobą liny. Okazało się jednak, że zalane syfony w dolnej części jaskini nie pozwalają na dotarcie do dolnego otworu. Pozostał więc odwrót przez górny otwór, ale wcześniejsze ściągnięcie lin zmusiły grotolazów do dość trudnej wspinaczki w górę, co znacznie przedłużyło pobyt w jaskini.

W dniu **16.12.2006**, po godz. 19-tej, do TOPR zadzwonili grotolazi informując, że przy północnym otworze Jaskini Czarnej jeden z ich kolegów, podczas pokonywania niewielkiego prożka w pobliżu otworu, zrzucił sobie na nogę sporych rozmiarów głaz. Został on przez współtowarzyszy wyciągnięty na powierzchnię. Konieczny był tylko transport ranego do szpitala. Na miejsce wypadku wyruszyła siedmioosobowa grupa ratowników. Po zaopatrzeniu w noszach francuskich ranny został zniesiony do oczekującego w dole samochodu i przewieziony do szpitala.

W dniu **20.12.2006**, po godz. 17.30, do Centrali TOPR dotarła informacja o wypadku na progu Dolinki za Mniczem. Schodzący w dół taternik poślizgnął się i spadł zalodzonym progiem uderzając po drodze w wystające głazy. W wyniku upadku doznał chwilowej utraty przytomności, mocnych ogólnych potłuczeń i otarć. Z pierwszą pomocą wyruszył ratownik pełniący dyżur w Morskim Oku. Na pomoc w transporcie wyruszyła również ekipa ratowników z Zakopanego. Rannego sprowa-

dzono do M. Oka, skąd karetka zabrała go do szpitala.

27.12.2006 doszło do wypadku na drodze Dorawskiego na pn.-wsch. ścianie Świnicy. Dwóch taterników z Częstochowy rozpoczęło wspinaczkę tą drogą. Będąc na pierwszym wyciągu prowadzący taternik postanowił zawrócić. Wbił haka, z którego zaczął go opuszczać będący u podstawy ściany partner. Żle wbity hak wypadł podczas opuszczania, a opuszczany taternik spadł na asekurującego go kolegę. W wyniku uderzenia ten ostatni doznał mocnych potłuczeń, zranień i chwilowej utraty przytomności. Obaj zsunęli się jeszcze kilkadziesiąt m po stromych śniegach. Zawiadomieni o wypadku ratownicy polecieli śmigłowcem pod ścianę Świnicy. Desantowali się w pobliżu oczekujących na pomoc taterników. Po udzieleniu pierwszej pomocy, ranego taternika w noszach francuskich przeniesiono w miejsce, gdzie mógł przyziemić śmigłowiec. Po włożeniu ranego na pokład, przewieziono go do szpitala. W drugim locie zabrano lekko ranego drugiego taternika, który był sprawcą całego zdarzenia.

W dniu **9.01.2007**, w godzinach południowych, do Centrali TOPR zadzwonił jeden z taterników informując, że przed chwilą on i jego dwoje partnerów spadli z niewielką lawiną z progu Dolinki za Mniczem. Wszyscy są na powierzchni, ale trochę poturbowani. Jeden z nich skarży się na ból kręgosłupa a partnerka na ból żeber. Na miejsce wypadku ratownicy polecieli śmigłowcem. Desantowali się w Nadspadach w pobliżu oczekujących na pomoc taterników. Taternika z podejrzeniem urazu kręgosłupa ułożono na desce ortopedycznej, włożono do pulek i wraz z leka-



rzem na linie pod śmigłowcem przeniesiono na lądowisko przy Morskim Oku. Tam rannego włożono na pokład śmigłowca i przetransportowano do szpitala. W drugim locie do szpitala przewieziono taterniczkę z podejrzeniem urazu żeber. Jak się okazało taternicy podchodzili Żlebem pod Soplem na próg Dolinki za Mnichem. Na przełamaniu żlebu podcięli poduchę nawianego śniegu, z którą spadli około 150-200 m, uderzając po drodze w wystające kamienie. Tego dnia w Tatrach obowiązywał II stopień zagrożenia lawinowego.

W dniu **15.02.2007** na drodze Starek-Uchmański wspinało się dwoje taterników. W godzinach wieczornych, podczas wycofywania się zjazdami, taternik zjeżdżający jako pierwszy, spostrzegł, że do ostatniego stanowiska zjazdowego brakuje mu około 1,5 m liny. Wobec tego rozwiązał węzeł na końcach liny, licząc, że w ten sposób przedłuży linę na tyle, by sięgnąć do pętli stanowiskowej. Jednak podczas tych manewrów wyjechał z liny i spadł około 20 m, lądując na śniegach u podstawy ściany, doznał niewielkich potłuczeń. Zaczął krzyczeć do partnerki, by nie zjeżdżała, gdyż lina jest za krótka i bez węzła

na końcu. Wiejący wiatr utrudnił prawidłową komunikację. Partnerka zrozumiała, że lina jest wolna i zaczęła zjeżdżać. Podobnie jak partner, wyjechała z liny, spadła około 30 m uderzając po drodze w skały. W wyniku upadku doznała urazu kręgosłupa, złamania łopatki oraz mocnych otarć i potłuczeń. O godz. 21.50 partner zadzwonił po pomoc. Z Morskiego Oka pod ścianę wyruszyła dwójka ratowników, a z Centrali TOPR kolejnych 6-ciu. O godz. 23-ciej ratownicy dotarli do oczekujących na pomoc taterników. Po zaopatrzeniu, ranną taterniczkę w desce ortopedycznej i pulkach przetransportowano do Morskiego Oka i dalej karetką TOPR do szpitala, gdzie dotarła o godz. 3.50.

W dniu **18.03.2007**. Kuluarem Kurtyki wspinała się początkująca taterniczka. Będąc na pierwszym wyciągu odpadła, spadła kilkanaście metrów, doznając złamania podudzia. Wezwani na pomoc ratownicy na miejsce wypadku polecili śmigłowcem. Z jego pokładu desantowali się w pobliżu miejsca wypadku. Po udzieleniu pierwszej pomocy ranną w pulkach przetransportowano w dogodne miejsce do przyziemienia śmigłowca, któ-



Żłobisty Szczyt, Rumanowy Szczyt i Ganek z Dol. Białej Wody

Fot. B. Jankowski

rym przewieziono ją do szpitala.

W dniu **9.07.2007**, po godz. 9-tej, do TOPR dotarła informacja o wypadku na Filarze Staszla, do którego doszło poniżej zachodu wyprowadzającego do Koziej Dolinki. Jedną z taterniczek w wyniku uderzenia kamieniem doznała urazu głowy i ręki. Ratownicy z pokładu śmigłowca desantowali się zjazdem na linie bezpośrednio na stanowisko, gdzie na pomoc oczekiwała ranna. Po zaopatrzeniu, została ona wraz z ratownikiem podebrana na 50-cio m linie, zawieszona pod śmigłowcem, i przeniesiona na lądowisko na morenie Czarnego Stawu. Tam włożono ją na pokład śmigłowca i przetransportowano do szpitala.

W dniu **15.07.2007**, podczas wspinaczki drogą Robakiewicza na Mnichu, odpadł doznając kontuzji nogi 29-letni taternik z Krakowa. Ratownicy na miejsce wypadku polecieli śmigłowcem. Ponieważ taternik znajdował się u podstawy ściany, ratownicy mieli ułatwione zadanie. Po udzieleniu pierwszej pomocy przenieśli go w noszach francuskich w miejsce dogodne do przyziemienia śmigłowca. Tam włożono go na pokład i przetransportowano do szpitala.

W dniu **16.07.2007** podczas wspinaczki drogą Surdela na wsch. ścianie Mięszowieckiego Szczytu, mniej więcej w 1/3 ściany odpadła prowadząca ten wyciąg 20-letnia taterniczka z Sulejówka. W wyniku około 8-10 m lotu doznała urazu miednicy, nogi i ogólnych dość mocnych potłuczeń i otarć. Na miejsce wypadku ratownicy polecieli śmigłowcem. Po spenetrowaniu ściany i oglądnięcia miejsca, gdzie na pomoc oczekiwała ranna, jednego z ratowników wpięto do 50 m liny zawieszona pod śmigłowcem i przetransportowano na miejsce wypadku. Ranna taterniczka po zaopatrzeniu została przez ratownika wpięta do liny i razem z nim przeniesiona w rejon Mnichowych Stawków, gdzie mógł przyziemić śmigłowiec. Tam włożono ją na pokład śmigłowca i przewieziono do szpitala. Cała trudna technicznie akcja trwała około godziny. Gdyby nie śmigłowiec i zastosowana technika „długiej liny”, klasyczna akcja ratunkowa trwałaby kilkanaście godzin.

W dniu **2.08.2007** na tej samej drodze doszło do podobnego wypadku. Będący w górnej części ściany taternik odpadł, a w wyniku kilkumetrowego lotu i uderzeniu w skały,

doznał złamania nogi. I tym razem dzięki użyciu śmigłowca i zastosowaniu techniki „długiej liny” udało się w krótkim czasie przetransportować rannego taternika do szpitala.

W dniu **23.08.2007**, podczas wspinaczki drogą Stanisławskiego na wsch. ścianie Mnicha, prowadzący pierwszy wyciąg taternik z Gliwic odpadł uderzając w skały. W wyniku upadku złamał rękę i doznał ogólnych potłuczeń i otarć. Koledzy opuścili go w bezpieczne miejsce i wezwali ratowników. Ratownicy z pokładu śmigłowca desantowali się w pobliżu oczekującego na pomoc taternika. Po udzieleniu mu pierwszej pomocy, wraz z ratownikiem podebrano go na linie zawieszona pod śmigłowcem i przeniesiono w rejon Mnichowych Stawków. Tam rannego taternika włożono na pokład śmigłowca i przetransportowano do szpitala.

W dniu **9.08.2007** ratownicy słowaccy poprosili TOPR o pomoc w likwidacji wypadku, do którego doszło na Jastrzębiej Turni, na drodze Czerwone przewieszki. Będący w 2/3 wysokości ściany, prowadzący wyciąg czeski taternik odpadł i w wyniku 10 m lotu i uderzeniu w skały doznał poważnej kontuzji stawu skokowego. Na miejsce wypadku poleciał TOPRowski Sokół. Dwaj ratownicy zawieszeni na 35 m linie zostali przeniesieni w ścianę. Wykorzystując zawis śmigłowca i używając wiertarki, założono stanowisko, do którego wpięli się ratownicy wypinając równocześnie z liny „śmigłowcowej”. Śmigłowiec odleciał na przygodne lądowisko w Dolinie Kieżmarskiej a ratownicy przystąpili do udzielania pierwszej pomocy rannemu taternikowi. Po zaopatrzeniu włożono go w nosze francuskie. Nadleciał śmigłowiec, z którego ratownikom opuszczono linę. Ratownicy wraz z rannym wpięli się do niej, równocześnie wypinając ze stanowiska asekuracyjnego. Podebrani przez śmigłowiec, zostali przeniesieni do Dol. Kieżmarskiej. Po przyziemieniu, rannego taternika włożono na pokład śmigłowca i przewieziono do Smokowca.

Na początku września w Tatry zawitała zima. Śniegu spadło tyle, że TOPR na pewien czas ogłosił II stopień zagrożenia lawinowego. Warunki w ścianach pogorszyły się na tyle, że praktycznie ustał ruch taternicki.



Członkowie honorowi PZA

oraz poprzedzających go organizacji ST TT (PTT), KW PTT, KW

Zestawił Józef Nyka

Rok nadania

1972 – Abalakow Witalij, SU, nie żyje
 1983 – Albrizzio Manuel, Peru
 1965 – d'Arcis Charles E., CH, nie żyje
 1960 – Babiński Mieczysław, nie żyje
 1969 – Bajer Czesław, nie żyje
 2004 – Bała Marian
 2004 – Baryła Janusz
 2001 – Biel Stanisław
 1986 – Bilczewski Adam, nie żyje
 2001 – Bonington Christian, Sir, GB
 1974 – Borowikow Aleksiej, SU, nie żyje
 1983 – Carter Hubert A., USA, nie żyje
 1998 – Riccardo Cassin, I
 1928 – Chałubiński Ludwik, nie żyje
 1913 – Chmielowski Janusz, nie żyje
 1992 – Chrobak Eugeniusz, pośmiertnie
 1960 – Chwaściński Bolesław, nie żyje
 2004 – Ciszewski Andrzej
 1931 – Czerwiński Jan W., nie żyje
 1963 – Czeżowski Tadeusz, nie żyje



1965 – Degregorio Giuseppe, I, nie żyje
 1922 – Dénes Franz, SK, nie żyje
 1950 (ok.) – Dorawski Jan K., nie żyje
 1972 – Dyhrenfurth Günter O., CH, nie żyje
 1965 – Dziędzielewicz Zdzisław
 1963 – Franco Jean, F, nie żyje
 1922 – Gadowski Walenty, ks., nie żyje
 1963 – Gąsienica z Łasa Stanisław, nie żyje
 2004 – Gąsiorowski Antoni
 1965 – Godlewski Julian, nie żyje
 1933 – Goetel Walery, nie żyje
 1963 – Golcz Jerzy, nie żyje
 1983 – Gradziński Ryszard,
 2004 – Grochowski Marek
 1958 – Groński Stanisław, pośmiertnie
 1974 – Hajdukiewicz Jerzy, nie żyje
 1974 – Heen Arne Randers, N, nie żyje
 1992 – Heinrich Zygmunt A., pośmiertnie
 1998 – Hillary Edmund, Sir, NZ
 1967 – Hunt John, Sir, GB, nie żyje
 2001 – Jakubowski Karol
 2004 – Janik Antoni
 2004 – Janik Robert
 2004 – Jankowski Bogdan
 2001 – Jaworowski Zbigniew
 1928 – Klemensiewicz Zygmunt, nie żyje
 1931 – Komarnicki Gyula, H, nie żyje
 1930 – Komornicki Stefan, nie żyje
 1928 – Kordys Roman, nie żyje
 1974 – Kowalski Kazimierz, nie żyje



Organizacyjne



1989 – Kuczyński Maciej
2004 – Kuliński Stanisław
2001 – Kurczab Janusz
1928 – Kroebl Adam, nie żyje
1989 – Kuczyński Maciej
1989 – Kukuczka Jerzy, pośmiertnie
1928 – Lewicki Adam, nie żyje
1931 – Lory Pierre, F, nie żyje
1963 – Łapiński Czesław, nie żyje
1972 – Łaskiewicz Julian, nie żyje
1972 – Malejnow Aleksiej, SU, nie żyje
1974 – Manduk Władysław, nie żyje
1977 – Martin Alfred, D, nie żyje
1948 – Marusarz Jarzabek Jędrzej, nie żyje
1928 – Maślanka Jerzy, nie żyje
2004 – Michalski Jerzy
1992 – Mischke Maciej, nie żyje
1992 – Młotecki Piotr, nie żyje
1983 – Mogilnicki Henryk, nie żyje
2004 – Morawska-Nowak Barbara
1931 – Nowicki Jan, nie żyje
1963 – Narkiewicz Jodko Konstanty, nie żyje
2004 – Nazir Sabir, PK
1974 – Nyka Józef
1963 – Obstarczyk Franciszek, nie żyje
1963 – Ojrzyński Antoni, nie żyje
1960 – Orłowski Tadeusz
1963 – Ostrowski Wiktor, nie żyje

1995 – Paczkowski Andrzej
1977 – Paryski Witold H., nie żyje
1974 – Paszucha Kazimierz, nie żyje
1969 – Pawlewska-Szydłowska Irena, nie żyje
1913 – Pawlikowski Jan G., nie żyje
1980 – Pawłowski Tadeusz, nie żyje
1969 – Petzl Fernand, F, nie żyje
1965 – Piątkowski Eugeniusz, nie żyje
1958 – Piotrowski Kazimierz, nie żyje
2004 – Popko Maciej
1974 – Puśkaś Arno, SK, nie żyje
1977 – Radwańska-Paryska Zofia, nie żyje
1960 – Roguska-Cybulska Jadwiga, nie żyje
1972 – Rossi Piero, I, nie żyje
1992 – Rutkiewicz Wanda, pośmiertnie
1974 – Sawicki Jan, GB, nie żyje
1967 – Sayse-Tobiczyk Kazimierz, nie żyje
1958 – Schiele Aleksander, nie żyje
1983 – Schramm Ryszard W.
1989 – Schubert Pit, D
2004 – Serafin Jan
1960 – Siedlecki Stanisław, nie żyje
2004 – Siemińska-Słupska Jadwiga
2001 – Skoczylas Bogna
1995 – Skoczylas Zbigniew
2004 – Słupski Jan
2004 – Sobolewski Andrzej
1974 – Sokołowski Adam, nie żyje
1937 – Sokołowski Marian, nie żyje
1963 – Staszek Jan, nie żyje
2004 – Stryczyński Jan
2003 – Szumski Juliusz – pośmiertnie
1963 – Szczepański Jan A.
2001 – Szczepański Jan J., nie żyje
1913 – Tetmajer Przerwa Kazimierz, nie żyje
1989 – Wala Jerzy
1974 – Warteresiewicz Jerzy, nie żyje
1948 – Wawrytko Jakub senior, nie żyje
1963 – Wawrytko Józef starszy, nie żyje
1986 – Wesołowski Jerzy, nie żyje
2004 – Wiktorowska Hanna
1983 – Wilczkowski Andrzej
1963 – Wojsznis Justyn, nie żyje
2001 – Worwa Stanisław, nie żyje
1972 – Wowkonowicz Tadeusz, F, nie żyje
2001 – Woźniakowski Jacek
1980 – Zaremba Stanisław K., nie żyje
1986 – Zawada Andrzej, nie żyje
2004 – Zyzak Adam
1986 – Zierhoffer Stanisław
1963 – Zwoliński Stefan, nie żyje
1958 – Żuławski Jerzy W., pośmiertnie

Przewodnik po afgańskim Hindukuszu Wysokim

W marcu 2007 roku Aga Khan Foundation w Afganistanie opublikowała wysokogórski przewodnik obejmujący północną stronę grupy górskiej występującej u nas pod nazwą Wysoki Hindukusz (High Hindu Kush). Autorami są znany włoski alpinista i kierownik wypraw Carlo Alberto Pinelli, jeden z założycieli Mountain Wilderness International oraz przewodnik alpejski i fotografik Gianni Predan. Tytuł przewodnika „Peaks of Silver and Jade. A mountaineering guide book of the Afghan Hindu Kush”. Został on wydany w kooperacji z Mountain Wilderness International oraz Museo della Montagna-CISDAE – Club Alpino Italiano – Torino.

Carlo Alberto Pinelli prowadził w 1963 r. włoską wyprawę do Wakhanu, w czasie której dokonano pierwszego wejścia na wybitny szczyt Kohe Baba Tangi (6516m), a ostatnio – wyprawę w 2005 r., podczas której Włosi weszli na Noszak (Noshaq 7492m) i spenetrowali szereg dolin po północnej stronie Wysokiego Hindukuszu. Wykonane zdjęcia fotograficzne ze zwiedzanego terenu wykorzystane zostały potem w przewodniku. Drugi autor Gianni Predan brał udział w wyprawie w 2005 r. i prawdopodobnie też w 2006 r., choć z przewodnika nie można się tego dowiedzieć.

Przewodnik obejmuje swoim opisem doliny i szczyty po stronie Wakhanu, od Qadzi Deh do przełęczy Baroghil An (3804 m) oraz ważniejsze wejścia graniami i ścianami. We wstępie podkreślone są złote lata 1960-1977 dla alpinizmu w Afgańskim Hindukuszu i autorzy chcieli to pokazać. Dla nas ważne jest zdanie C.A. Pinello: „In the year 1977 no less than 22 Polish expeditions visited the Afghan mountains!”. Przewodnik w części wstępnej posiada rozdział poświęcony stosowaniu i zakładaniu poręczówek. Dowodzi to, że ten sposób asekurowania się znalazł powszechne zastosowanie w wyprawach i trekkingach w wysokie góry.

Pod względem graficznym książeczka jest bardzo starannie i ładnie wydana. Wydrukowana została w Pakistanie. Zdobia ją liczne kolorowe fotografie wykonane przez uczestników włoskich wypraw do Wakhanu w 2005 i 2006 roku, w ramach działań Mountain Wilderness i Aga Khan Foundation, organizujących kursy wysokogórskie dla młodzieży w Afganistanie. Udań, choć ubogich w szczególności, ładne rysunki bazują w 75% na moich

rysunkach i fotografiach

z wrysowanymi drogami pierwszych wejść. Także większość informacji o autorach wejść zaczerpnięta jest z moich opracowań tekstowych. Wynika to też z faktu, że polska działalność górską w opisanym terenie była dominująca

i mimo braku zestawienia literatury oraz lakonicznych informacji o autorach wejść, wybija się w całym przewodniku. Tu trzeba dodać, autorzy przewodnika byli tak „skromni” w podawaniu informacji dotyczących wejść, że nie wymienili nawet nazwisk Włochów, którzy pierwsi weszli na Kohe Baba Tangi (6516m) w 1963 roku, a byli to G. Castelli i G. Biasin w dniu 7.08.1963 – uczestnicy wyprawy pod kierownictwem Carlo Alberto Pinello! Brak tych informacji i bardzo pobieżne potraktowanie terenu Wysokiego Hindukuszu na wschód od Doliny Qala-i Panja do przełęczy Baroghil An, jest słabą stroną tego opracowania. Na przykład wejścia w dolinach Eshan i Sust ograniczone są do podania, że wyprawa polska weszła na szczyty o określonej wysokości, ale wobec braku nazwy i wrysowania drogi na mapkę, czytelnik nie dowie się z przewodnika o położeniu tego obiektu.

Przewodnik zaopatrzony jest na końcu w kolorową mapę orograficzną przedstawiającą północną stronę Hindukuszu Wysokiego, a więc jedną z grup górskich rozległego obszaru afgańskie części Hindukuszu. Tymczasem autorzy zaopatrzyli ją w tytuł: „Afghan Hindu Kush”, co jest dla nieorientowanego czytelnika całkowicie mylące. Niestety nie miałem tej mapki do wglądu przy korekcie merytorycznej przewodnika.

Na prośbę C.A. Pinello i Gilberto Merlante wykonałem opracowanie „Kohe Keşnikhan (6756m) i jego otoczenie” (Kraków



2006). Dostarczyłem też moje wcześniejsze opracowanie z 2000 roku: „Polskie wyprawy w Hindukusz”, będące zestawieniem wszystkich moich publikacji na ten temat w Tatarniku i Wierchach, oraz innych niepublikowanych opracowań, a także niektórych tekstów innych autorów, dotyczących tego tematu. Materiał ten umożliwił autorom przewodnika jego przygotowanie. Choć na prośbę C. A. Pinnellego i CISDAE – CAI wykonałem korektę merytoryczną przewodnika, autorzy ograniczyli się do miłego dla mnie tekstu na zakończenie wprowadzenia:

„Last but not least, we want to thank Je-

rzy Wala, the walking encyclopaedia of all mountaineering activity accomplished in the Hindu Kush. We gratefully dedicate this book to him”.

Cieszę się bardzo z ukazaniem się tego przewodnika. Pomimo pewnych mankamentów jest on pierwszym tak obszernie i systematycznie wykonanym opisem części północnej grupy górskiej Hindukuszu Wysokiego i jest godny największego uznania dla autorów. Koniecznie powinien znaleźć się w naszych księgozbiorach.

Jerzy Wala

Maurizio Giordani: „Marmolada – parete sud”

Wydawnictwo Versante Sud, Mediolan 2007. Format: 15x21cm; Stron: 288 (kolor); Język włoski. Cena: 27,50 € – kupić można on-line na stronie www.versantesud.it.

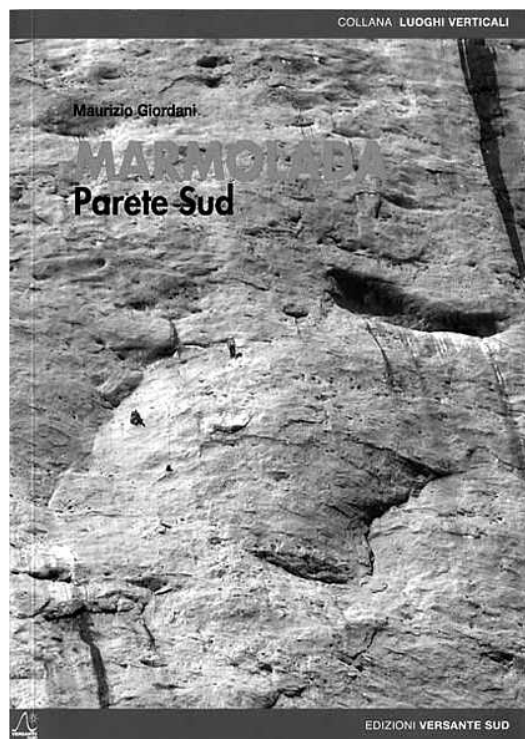
Poprzedni przewodnik po południowej ścianie Marmolady ukazał się dwadzieścia lat temu. Od tego czasu, do około stu już opisanych i powtórzonych, przybyło prawie osiemdziesiąt nowych dróg. Eksploracja alpinistyczna ściany nie zakończyła się, wspinacze ciągle nie poddają się, walcząc z najbardziej nieprawdopodobnymi gładziznami lub przewieszkami na coraz węższych dziewiczych połaciach skały, wciąż nie wyczerpuje się ich entuzjazm i motywacja.

Potrzeba wydania nowego przewodnika była oczywista, został on uaktualniony i poprawiony. Przy redagowaniu uwzględniono najaktualniejsze standardy, szczegóły techniczne uzupełnione są dokładnymi cyfrowymi fotografiami. Opisy słowne ograniczono do najbardziej niezbędnych, gdyż zdaniem autora, ściany i skały same dostarczają najlepszej informacji.

Maurizio Giordani urodził w Rovereto w 1959 r., od roku 1985 należy do Club Alpino Accademico Italiano, Groupe de Haute Montagne i Mountain Wilderness. Od 1989 roku jest przewodnikiem alpejskim oraz konsultantem kilku producentów specjalistycznego sprzętu i wyposażenia.

Napisał trzy książki na temat Marmolady: monografię alpinistyczno-historyczną „Sogno di pietra” i dwa przewodniki. Wspina się od 1979 roku, ma na swoim koncie przeszło 1000 wejść, od ekstremalnych wspinaczek

skalnych do himalajskich wielkich ścian. Z tego około sto – to nowe drogi, ponadto robił liczne pierwsze przejścia zimowe i solowe przejścia dróg o najwyższych trudnościach. Wśród jego najbardziej błyskotliwych wyczynów, trzeba wymienić solowe przejścia dróg na Marmoladzie: Pesce (Przez Rybę), Tempi moderni, i Supermatita. Jest wyjątkowo aktywnym podróżnikiem, brał udział w ponad 50 wyprawach w najrozmaitsze zakątki świata.



Stefan Kozłowski (1928 - 2007)

Znakomity uczony, społecznik, minister, a kiedyś także popularny w Krakowie taternik urodził się 5 stycznia 1928 r. we Lwowie. Studia na AGH w Krakowie ukończył w 1952 r., w 1976 został profesorem. Już jako student pracował w Biurze Projektów Materiałów Wiażących, później był geologiem dokumentatorem. W 1963 przeniósł się z Krakowa do Warszawy, gdzie związał się na wiele lat z Państwowym Instytutem Geologicznym. Przez 20 lat (1963–84) kierował Zakładem Geologii Złóż Surowców Skalnych, od 1986 koordynował badania z zakresu geologii środowiskowej. Działal (m.in. jako przewodniczący i sekretarz naukowy) w kilku komisjach badawczych PAN. Był propagatorem międzynarodowych rezerwatów biosfery i inicjatorem „zielonych płuc Europy”. W czasach politycznego przełomu należał do działaczy opozycyjnych i bliskich współpracowników Lecha Wałęsy. Był posłem na Sejm IX kadencji, a w rządzie Jana Olszewskiego (1991-92) ministrem ochrony środowiska, zasobów naturalnych i leśnictwa. W ostatnich latach był przewodniczącym Komitetu „Człowiek i Środowisko” oraz członkiem Komitetu Prognoz „Polska 2000 Plus” PAN. Wykładał na KUL w Lublinie, Wyższa Szkoła Ekologii i Zarządzania żegna go jako Dziekana Wydziału Ekologii.

Od wczesnej młodości związany z górami.. Jesienią 1948 r. został przyjęty do Koła Krakowskiego KW – z rekomendacją Juliusza Szumskiego i Zenona Węgrzynowicza. 2 września 1950 został członkiem zwyczajnym. Do lata 1951 – jak sam podawał – zaliczył „kurs w dolinkach i 3 obozy zimowe w Tatrach”. Był już wtedy pomocnikiem instruktora. Na wspinaczkach często towarzyszył mu Adam Dobrowolski, jako o swoim „partnerze letnim” mówił o Wojtku Komusińskim. Dużo wspinał się z Tadeuszem Strumiłłą i Antonim Wałą. Z Wałą przeszedł 5 września 1952 zachodnią ścianę Skrajnego Granatu a następnego dnia Filar Leporowskiego. W marcu 1953 r. jego karierę taternicką przerwał na dłużej wypadek lawinowy w żlebie z Koziej Przełęczy Wyżniej – ze skomplikowanym złamaniem nogi, po którym nie odzyskał już pełnej sprawności. Mimo to nadal odwiedzał góry. Wspinał się, jeździł na nartach „dzięki wynalazkowi Macieja nauczył się jeździć na krótkich nartach” (tzw. „miskach”). W marcu 1955 uczestniczył w obozie zimowym nad Popradzkim Stawem. 15 marca po biwaku

w Dolinie Hlińskiej w czwórce z Henrykiem Czarnockim, Tadeuszem Strumiłłą i Antonim Wałą próbował wejść od północy na Tęciańską Przełęcz Niżnią. W tym samym zespole 16 marca zrobił pierwsze wejście zimowe północno-wschodnią ścianą na „XIII Turnię Grani Hrubego” (Zadnią Garajową Turnię), u WHP zapisane jako pierwsze wejście zimowe na Zadnią Garajową Ławkę (WHP 708, „Oscypek” 15 s. 20). 19 marca ten sam zespół przeszedł jako pierwszy zimą lewą połączającą wschodniej ściany Zadniej Baszty, schodząc ścianą zachodnią. W r. 1957 bawił w większej polskiej ekipie na Kaukazie („Taternik” 2/1958 s.22-39). 5 września wszedł na Gumaczi a 10 września na wschodni wierzchołek Elbrusa (5595 m). W r. 1959 wyjechał w Alpy Julijskie: 11 września przebył wschodni filar Stenara a dwa dni później drogę słoweńską na północnej ścianie Triglavu (obie drogi z Dobrowolskim). W r. 1961 wraz z Mirosławem Bądryńskim poprowadził 2 nowe drogi w masywie Lodowego Szczytu – środkiem północnej ściany Sobkowego Kopiniaka (27 VIII) i lewą częścią północnej ściany Małej Sobkowej Turni (30 VIII). W 1962 uczestniczył w wyprawie geologicznej do Mongolii.

Miał wysokie odznaczenia państwowe i liczne wyróżnienia honorowe. Pisywał w „Taterniku”, w „Pamiętniku PTT” 2003 s. 141-145 zamieścił opis przygody z r. 1953, zatytułowany „Lawina. Wspomnienie o Macieju Mischke”. Opublikował ok. 200 prac naukowych z dziedziny geologii (wulkanizm, kopaliny użyteczne) oraz ekologii. Był współautorem „Przeglądowej mapy Surowców Skalnych Polski” (1975), opracowywał podręczniki, m.in. „Surowce skalne Polski” (1975), „Ochrona krajobrazu” (1980), „Przyrodnicze uwarunkowania gospodarki przestrzennej Polski” (1983). Pod jego naukową opieką powstawał ostatnio w PIG „Atlas georóżnorodności”, który miał uświetnić jego 80. urodziny. Nie doczekał ich – zmarł niespodziewanie 17 września 2007 podczas prelekcji w Krynicy, spoczął 25 września na Powązkach. „Człowiek – jak napisano w nekrologu PIG – wielkiego formatu, wielkiego serca, oddany Matce Ziemi i wszystkiemu co na niej istnieje.” Także – może przede wszystkim – górom wysokim.

Józef Nyka

René Desmaison (1930 – 2007)

Jeden z najwybitniejszych alpinistów XX wieku zmarł po długiej walce z chorobą 28 września 2007 w szpitalu w Marsylii. Pamiętamy go jako niezwykle aktywnego alpinistę – z ponad tysiącem świetnych przejść, w tym 114-oma pierwszymi wejściami w Alpach, Andach i Himalajach a także – jako autora szeregu książek i filmów.

René Desmaison urodził się 14 kwietnia 1930 roku z dala od gór, w rejonie Périgord, w Akwitanii. Początkowo jego zainteresowania kierowały się ku morzu, chciał zostać marynarzem. Góry poznał w wojsku, gdy stacjonował w Briançon (Masyw Écrins). Na poważnie zaczął wspinąć się w Fontainbleau, jako przedstawiciel trzeciej generacji młodych paryskich alpinistów i wspinaczy, znanej jak „Grupa Bleu”. W 1954 roku spotkał tam Jeana Couzy, młodego inżyniera lotnictwa i oblatywacza, z którym potem często wspinał się w Alpach. Zrobili razem czwarte przejście klasycznej drogi Magnone’a i towarzyszy na zachodniej ścianie Petit Dru, a następnie w 1957 r. – pierwsze zimowe przejście tej drogi. Znacznie później, w dniach 28-29 sierpnia 1965 r. Desmaison dokonał pierwszego samotnego przejścia tej sławnej ściany. Innym czołowym sukcesem zespołu Couzy-Desmaison było poprowadzenie ekstremalnej drogi środkiem północno-zachodniej ściany Olan (1956). Gdy Couzy zginął tragicznie w 1958 roku na Pic de Bure, René Desmaison skrzyknął silny zespół wspinaczy dla uczczenia pamięci przyjaciela. Latem 1959 r. powstała Direttissima Jean Couzy na północnej ścianie Cima Ovest di Lavaredo, zwana popularnie direttissimą francuską. Partnerami Desmaisona byli wówczas Pierre Kohlman, Bernard Lagesse i Pierre Mazeaud. W 1961 roku zespół Desmaisona przegrał z polsko-angielskim zespołem w składzie: Jan Długosz, Chris Bonington. Don Whillans i Ian Clough, rywalizację o Centralny Filar Frėney na pd. ścianie Mont Blanc, uważaną za „ostatni wielki problem alpejski”.

W latach 50. i wczesnych 60. Desmaison był aktywny w Himalajach. Podczas wyprawy w 1962 r., prowadzonej przez Lionela Terraya, Desmaison znalazł się w grupie szturmowej, która zdobyła Jannu (7710 m). Na szczycie Jannu nakręcił kamerą 16 mm swoje pierwsze sceny filmowe.

W 1966 r. Desmaison – przewodnik wysokogórski i profesor ÉNSA – został wydalony ze Stowarzyszenia Przewodników Chamonix po tym, jak on, Mick Burke i Gary Hem-



ming uratowali dwóch niemieckich wspinaczy na zachodniej ścianie Petit Dru, prowadząc samodzielną akcję, „konkurencyjną” dla oficjalnej. Hemming został okrzyknięty bohaterem a Desmaisonowi władze Stowarzyszenia zarzuciły wykorzystanie akcji do celów komercyjnych – przygotowania raportu z akcji dla tygodnika Paris Match. Polemiki, które potem nastąpiły, wywołały rozdział między nim a wspinaczkowym establishmentem Chamonix, który jeszcze pogłębił się w następnym latach.

W latach 60. Desmaison został wybitnym specjalistą zimowej wspinaczki alpejskiej – w owych latach jeszcze rzadko podejmowanej działalności. Lista jego pierwszych przejść zimowych w tym okresie jest bogata, wystarczy wymienić zdobycie pn.-zach. ściany Olan (1960), ściany Nant Blanc na Verte (1964), Centralnego Filara Frėney (1967) i Całunu na pn. ścianie Grandes Jorasses (1968). W lutym 1963 r. przeszedł z J. Batkinem Filar Walkera na Grandes Jorasses, jako drugi zespół zimą, w kilka dni po Bonatim i Zappellim.

Najbardziej znane wydarzenie we wspinaczkowej karierze Desmaisona miało miejsce w lutym 1971, gdy wraz z młodym adeptem sztuki przewodnickiej Serge’em Gousseault próbował poprowadzić nową drogę po lewej stronie Filaru Walkera. Wspinaczka miała dramatyczny przebieg i tragiczny finał. Z powodu szeregu nieprzewidzianych okoliczności, próba przejścia trasą do dziś uważaną za jedną z najtrudniejszych mikstowych dróg Alp i rzadko powtarzaną, zamieniła się w dwutygodniowy koszmar. Byłem wówczas w Chamonix, jako członek zespołu planującego przejście Filara Naroźnego na Mont

Blanc. Pamiętam codzienne komunikaty prasowe i liczne loty helikopterów w rejon Grandes Jorasses. Desmaison i niedomagający Gousseault, niemal cały czas przed obiektywami kamer i pod ostrzałem prasy, walczący ze ścianą i niepogodą. Gousseault załamał się 80 m pod szczytem i obaj wspinacze zostali zablokowani w ścianie.

Z wciąż niejasnych przyczyn, ratunek z Chamonix wyruszył z opóźnieniem. Gdy ostatecznie ekipa ratunkowa dotarła do wspinaczy, Gousseault nie żył już od trzech dni, ale i Desmaison był ledwie żywy. Przymierał głodem, przypięty do jedynego haka, wsparty na zamrożonym ciele towarzysza.

Ostry spór nastąpił między Desmaisonem a Maurice Herzogiem, zdobywcą Annapurny, który był wtedy burmistrzem Chamonix. Desmaison oskarżył Herzoga o rozmyślnie hamowanie akcji ratunkowej w celu „ukarania” go za sprawę Dru w 1966 r. Z kolei, Desmaison był oskarżany o spowodowanie katastrofy, przez przedłużanie wspinaczki dla efektu medialnego. Kontrowersja trwała przez wiele lat i nawet gdy Desmaison został poproszony o przyjęcie honorowego członkostwa Compagnie des Guides de Chamonix w 2005 r., tragedia sprzed trzydziestu paru lat nadal go prześladowała.

W 1972 r. Desmaison dokonał pierwszego solowego przejścia ogromnej Grani Peuterey, a w rok później wrócił na ścianę Jorasses, by skończyć drogę z zimy 1971 (z Giorgio Bertonem i Michelelem Clarettem). W następnych latach był czynny w Andach; gdzie poprowadził kilka trudnych dróg, również ze swoim synem. Najlepsze jego osiągnięcie andyjskie to pokonanie południowej ściany Nevado Huandoy.

René Desmaison zrelacjonował swoje przygody alpinistyczne w wielu książkach. W szczególności „342 heures dans les Grandes Jorasses” – przywołujące wspomnienia



Wielka Grań Peuterey solo - arcydzieło kunsztu wspinaczkowego René Desmaisona

tragedii z 1971 r. oraz „La montagne à mains nues”, uważane są za klasyczne dzieła literatury alpinistycznej. Nakręcił też kilkanaście filmów, głównie w Alpach i Andach.

Przed kilkoma laty Desmaison wycofał się na ubocze życia alpinistycznego i poświęcił się życiu rodzinnemu. Mieszkał w niewielkiej miejscowości Aspres-sur-Buëch (Hautes-Alpes), na południe od Grenoble, niedaleko masywu Devoluy.

Zasługi Desmaisona dla alpinizmu francuskiego i światowego doceniły również najwyższe władze francuskie. Prezydent Nicolas Sarkozy wyraził „osobisty szacunek dla wielkiego alpinisty francuskiego”, adresując swoje „szczerze kondolencje” do „żony zmarłego, jego dzieci, wielkiej rodziny alpinistycznej i pogrążonych w żałobie gór”. Specjalny komunikat, podkreślający zasługi Desmaisona, wydał też premier François Fillon.

W książce „342 godziny na Grandes Jorasses” René Desmaison pisał: „tak trudno jest akceptować nicość... Chciałbyś wiedzieć, co jest naprawdę poza życiem, być pewnym, że to wszystko nie jest tylko żartem... Ale jak wielki może być żart, by przetrwać millenia? Spójrz jak piękne są gwiazdy na węglowo czarnym niebie, te drobne migocące diamenty, te małe fantastyczne światy. Na twoich oczach rozgrywa się akt tworzenia, tu, na tej samej górze, która zabiera ci życie, i której nie możesz znienawidzić nawet teraz... I co jest tu prawdą, wśród tych piramid granitu?”

Janusz Kurczab

Robert Bates (1911 – 2007)

13 września 2007 roku, w wieku 96 lat zmarł Robert Hicks Bates, honorowy prezes American Alpine Club i pionier amerykańskiego himalaizmu.

Urodzony 14 stycznia 1911 r. w Filadelfii, Bob Bates był jednym z „Harvardzkiej Piątki” – wybitnych wspinaczy z alpinistycznego klubu Harvard University, których szczyt działalności przypadł na lata 30. XX wieku. (Pozostali czterej to Henry Adams Carter, Charles Houston, Terris Moore i Bradford Washburn.) Wraz z Washburnem Bates dokonał pionierskich wejść w Jukonie. Sławę zyskali biorąc udział w epickim zdobyciu Mount Lucania i Mount Steele w 1935 r. – po udanych wspinaczkach musieli przebyć na piechotę ponad 70 mil, gdy nie mógł po nich wrócić samolot. Ich epopeję opisał David Roberts w książce „Escape from Lucania”. Bates z towarzyszymi był również autorem pierwszych wejść na Mount Walsh, Mount Alverstone i Mount Hubbard, ważne szczyty w Górach Świętego Eliasza.

Podczas drugiej wojny światowej Robert Bates pomógł zmodernizować sprzęt wspinaczkowy dla wojsk amerykańskich. Ma swój udział w rewolucyjnych zmianach w konstrukcji odzieży i wyposażenia, które przyspieszyły postępy w powojennym alpinizmie. Zorganizował również wojskową wyprawę, która w 1942 r. dokonała trzeciego wejścia na Denali. X Dywizja Górską mianowała go swoim członkiem honorowym, odznaczono go Legią Zasługi i Brązową Gwiazdą.

Bates brał udział w amerykańskich wyprawach na K2, zarówno w 1938 jak i w 1953 r. Jego książka „K2: The Savage Mountain” o epopei wycofania się z K2 podczas wyprawy w 1953 r., napisana wspólnie z Charlesem Houstonem, jest jednym z kla-

sycznych dzieł amerykańskiej literatury alpinistycznej. Napisał lub zredagował jeszcze kilka innych książek o swoich wspinaczkach i wyprawach eksploracyjnych.

W 1974 r. miałem okazję poznać go w Ministerstwie Turystyki w Islamabadzie. Zawitał tam wraz z H. Adamsem Carterem jako członek grupy rekonesansowej przed wyprawą na północno-zachodnią grań K2, planowaną na 1975 rok. W zasadniczej wyprawie już nie wziął udziału, ale jeszcze w 1985 r., mając 75 lat, prowadził ekspedycję, która dokonała wejścia na Ullugh Muztagh (6638 m) w północnotybetańskim paśmie Kunlun.

Bob Bates pełnił funkcję prezesa AAC od 1959 do 1961, a od 1988 r. był Honorowym Prezesem. Doroczna nagroda AAC za wybitne osiągnięcia młodych amerykańskich wspinaczy (25 lat i poniżej) nosi jego imię.

Bates był przez ponad 35 lat lubianym nauczycielem angielskiego w Phillips Exeter Academy w New Hampshire, przeszedł na emeryturę w 1976 r. Podczas dłuższego urlopu w latach 60. Bates pracował w Nepalu – był pierwszym szefem Korpusu Pokoju i zastępcą dyrektora szkoły objazdowej. Ostatnio mieszkał w Exeter, New Hampshire, gdzie pozostawił żonę, Gail Oberlin Bates.

Janusz Kurczab



TATERNIK

Magazyn informacyjny Polskiego Związku Alpinizmu

Nr 3-4 (315-316) Rok 81 ISSN 0137-3155

Redakcja, opracowanie graficzne i skład: Janusz Kurczab

Ul. Krakusa 1 m. 13 03-390 Warszawa

Tel. 022/409-32-40 E-mail: taternik@pza.org.pl

Wydawca i dystrybucja:

Antykwariat Górski „Filar” Henryk Rączka

Ul. Alabastrowa 98, 25-753 Kielce, Tel. 041/345-62-19

<http://www.antykwariat-filar.pl/>

Na pocztówce, napisanej 25 sierpnia i wysłanej 27 sierpnia 1911 roku z Popradzkiego Stawu, podpisali się: Gyula Komarnicki (na awersie), a na rewersie - Zygmunt (Zygmunt Klemensiewicz), Stefka (Stefania Wieniewska - od 1912 r. żona Zygmunta), Janusz Chmielowski, Władysław Kulczyński, Ignacy Król, Stefan Komornicki, Jadwiga Roguska (-Cybulska), Jerzy Żuławski, Marian Smoluchowski, Wacław Zakrzewski, Roman Kordys i Mieczysław Świerz. (Ze zbiorów rodziny Wolskich z Nowego Sącza).

